

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 17 LISTOPADA 1928 ROKU

NR 47

TREŚĆ NUMERU: Niedola małych białych niewolników—*Zofja Drabikowa*. W imię dalekich—*M. H. Szpyrkówna*. Serce północy—*Zofja Mlszewska*. Poezje: „Jesień“. „Zdawało się, że już nigdy nie będzie...“—*Lucyna Krzemieniecka-Wolicowa*, Katarzyna — *Ewa Szelburg*. Bliźnięta owczarowe — *Lucja Knollówna*. Listy z nad Gangi — *Kamalini Shrinagamir*. Dusza kobiety (c. d.) — *Gina Lombroso*. 25-ciolecie gimnazjum A. Walickiej — *T. U. Z teatrów — Jadwiga Kłewnarska*. Kobieta w świecie i w domu — *Róża Czekańska-Heymanowa*. Antrakty—*Stef. H. Zmiana w stosunkach towarzyskich powojennej doby—L. Gerlachowa*. Przechowywanie owoców—*Stan. Schönfeld*. Śpiżarnia w mieście — *Pani Elżbieta*. Przepisy przed- i powojenne — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: Futra—*Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy“ — *M. Benisławska*. Tablica kroju.

NIEDOLA MAŁYCH BIAŁYCH NIEWOLNIKÓW

Istnieją zagadnienia bardzo głębokie, często niemal tragiczne, które, spotykane w życiu codziennym, tak spowszedniały, że przechodzimy koło nich obojętnie, nie zastanawiając się nad ich właściwą treścią. Gorzej: rozpatrując wielkie problemy życia społecznego, pomijamy często te, najbliższe nas stojące, pozornie błahe sprawy, w rzeczywistości będące poważnym czynnikiem w strukturze psychologicznej warstw, których dotyczy.

Jedną z takich kwestyj jest posiłkowanie się dziećmi przez żebraków, w celu wzbudzenia litości przechodniów. Coraz częściej spotykamy na rogach ulic, w bramach domów, przed kościołami—kobiety, a nie rzadko i mężczyźni, trzymających na rękach lub koło siebie jedno, dwoje, a nawet troje dzieci.

W obecnych czasach, kiedy tyle się mówi o opiece nad matką i dzieckiem, kiedy powstają coraz to nowe instytucje o szerokich horyzontach humanitarno-społecznych, przechodzimy spokojnie obok tych maleńkich istot, które dni całe spędzają, leżąc na zimnych płytach kamiennych chodników i stopni kościołów; pozwalamy setkom tych dzieci, przyszłych obywateli kraju, marnieć fizycznie i moralnie.

Niedola matek i dzieci, zmuszonych rzeczywistą nędzą do szukania w ten sposób kawałka chleba, jest wielka i zasługuje na szczere zainteresowanie; a przecież jest to tylko cząstka tej tragicznej głębi, jaka kryje się w problemie używania dzieci do żebrania.

Tę prawdziwie grozą przejmującą kwestję stanowi „wynajmowanie“, a nieraz i wykradanie dzieci przez zawodowych żebraków. Maleństwa, które wraz z rodzicami zmuszone są do uprawiania tego smutnego procederu, mogą nazwać się jeszcze „szczęśli-

wymi“, w porównaniu do swych wynajętych towarzyszy niedoli.

Nie tak dawno gazety stołeczne opisywały wypadek zaginięcia trzyletniej dziewczynki. Zrozpaczony bezowocnymi poszukiwaniami ojciec, przechodząc pewnego dnia koło schodów kościoła św. Krzyża na Krakowskim, usłyszał z pośród szeregu stojących tam żebraków wołanie: — „tatusiu!“. Zanim zdążył porwać w ramiona opatuchaną w brudne szmaty, zmienioną do niepoznania dziecinę—już „opiekunka“ jej zniknęła, a żadna z towarzyszek nie „widziała“.

Podobnie smutne wypadki siłą faktów jednak zdarzają się rzadziej. O wiele częściej, prawie na porządku dziennym, jest w fachu żebraczym stosowana metoda wynajmowania dzieci.

Kilka dni temu, wchodząc do jednego z domów na Nowym-Świecie, byłam mimowolnym świadkiem sceny, która wywarła na mnie niezatarte wrażenie. W cieniu bramy, schowana dla oczu przechodniów, stała żebraczka, trzymając obojętnie na ręku malutkie dziecko. Obok niej druga, blada, nędźnie ubrana kobiecina przypadała do maleństwa, obsypując je gorącymi pocałunkami i oglądając tkliwie. Gdy pieśszcoty te przedłużały się, zniecierpliwiona żebraczka wyrwała dziecko z rąk matki, śpiesząc na swój postereunek, by nie stracić datków litościwych przechodniów.

Jakąż nędza zmusiła tę kobietę do zaprzędania własnego dziecka!

Ta scena wystarczy chyba każdej matce do zrozumienia i odczucia palącej kwestji ratowania dzieci żebrzących. Trzeba wyteńczyć wszystkie siły i całą energję, by wreszcie położyć kres nędzy tych małych białych niewolników.

Gdyby cel ten można było osiągnąć zapomocą dania jałmużny, napewno nie zabrakłoby w Polsce litościwych serc. Niestety! im liczniejsze datki wpadać będą do kieszeni ludzi, żerujących na współczuciu społeczeństwa dla dzieci — tembardziej proceder ten będzie się rozwijał. Tu trzeba akcji jednolitej i akcji natychmiastowej.

Kwestja zniesienia żebractwa wogóle jest już dziś w toku i coraz częściej prasa podnosi ją, jako konieczność obecnych czasów. Zanim jednak powstanie dostateczna ilość domów zarobkowych, schronisk i t. p. instytucyj, umożliwiających zupełne wyplenienie żebractwa, należałoby w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na dzieci, żebrzące same i ze starszymi, i tej gałęzi żebractwa przedewszystkiem kres położyć.

W ostatnich dniach wydział Opieki Społecznej Magistratu zwrócił się do Komisarjatu Rządu z prośbą o wydanie rozporządzenia komisarjatom P. P., aby zatrzymywały żebraków z dziećmi i odsyłały do wydziału dla sprawdzenia ich stanu majątkowego. W razie stwierdzenia, iż żebrzą z cudzemi dziećmi, sprawy ich

będą przekazywane władzom sądowym. Pierwszy krok na tej drodze jest więc już zrobiony. Teraz od nas, kobiet, zależy, by akcja ta została jak najskrupulatniej i najszybciej przeprowadzona.

Należy w wypadkach spotkania żebraków z dziećmi natychmiast interwenjować, zwracać się do posterunkowych o pomoc, a zwłaszcza nie ustawać w wysiłkach, by rozporządzenie nie stało się martwą literą prawa. Dobrze byłoby, gdyby Komisarjat Rządu przekazał przeprowadzenie całej tej akcji policji kobiecej. Ułatwiłoby to działalność przeciążonym nieraz pracą posterunkowym, a zarazem dałoby pole już kilkakrotnie chlubnie zapisanej policji kobiecej do spełnienia nietylko obowiązku wobec społeczeństwa, lecz i obowiązku kobiety wobec dziecka — a ten wzgląd daje gwarancję sumiennego wywiązania się z powierzonego im zadania.

Energicznego i szybkiego zakończenia walki z plagą używania dzieci do żebraniny wymaga fizyczny i moralny rozwój przyszłych obywateli polskich.

Zofja Drabikowa.

M. H. SZPYRKÓWNA

W IMIĘ DALEKICH

Pomiędzy wieloma pięknymi tradycjami naszego kraju istnieje jedna, dziś, jak wiele innych, upadająca. Żyła podobno najbujniej w czasach, kiedy Polska była najniezwyklejsza. Kiedy z domów i ognisk, z pośrodku rodziny, wydzierano ojców, synów, braci i narzeczonych, aby w zaśnieżonych kibitkach uwieść daleko od ziemi rodzinnej. A osierociałe kółko pozostałych widziało już tylko cień kogoś nad wszystko drogiego tam, gdzie niegdyś przebywał.

I wtedy to żyła najbujniej jedna z prześlicznych i rzewnych dla nas, dzisiejszych beztradycjonistów, tradycja. Przy stole wigilijnym, kiedy zapalała się pierwsza gwiazdka i domownicy zgromadzali się dookoła opłatka, przy odświeżeniu zastawionym obiedzie zostawiano jedno miejsce — czasem więcej miejsc.. wolne. Miejsca tych, którzy odeszli. Czasem byli to ci, którzy odeszli w wieczność, czasem — ci, których wygnano przemocą... lecz bliscy liczyli, że może jednak, kiedyś! po latach! — wrócą. A zanim ich nie było, rodzina się gromadziła w rocznice szczególnie uroczyste z niezabliźnionym bólem w duszy i niewygasałą pamięcią: dawano w ten prosty, materialny niejako sposób, wyraz przeżyciom bardzo głębokim i niematerialnym, zaznaczając, że po tych, którzy odeszli, przy stole, jak i w sercach, zostało miejsce niezajęte.

Jest to — wiele. Jest to bardzo wiele, zważywszy, że nawet nad zatrzaśniętym wiekiem trumny życie przelewa się niepowstrzymanym potokiem, jak bystra

woda, i niweluje nabrzmiały narazie łzami i żalem kopiec pamięci. Jest to bardzo wiele! To też może dobrze jest czasem w szczególnie uroczyste rocznice przypomnieć sobie zewnętrznym, materialnym sposobem o sprawach niematerialnych i wciąż przez życie odsuwanych z porządku dziennego. Ci, co odeszli w ten czy inny sposób, nazawsze czy czasowo, z dobrej woli czy z musu: trudno! tracą powoli zajmowane przedtem swoje miejsce. „Qui va à la chasse, perd sa place!” — jak określili to lapidarnie francuzi. I miejsce to częstokroć zabiera ktoś i mniej miły, i mniej wart, ale taki, który — jest w pobliżu.

Pomiędzy wieloma innymi kategorjami odchodzących, mamy w Polsce wielką, ba! ogromną, bo miliony już liczącą klasę ludzi, którzy — odchodzą. Odchodzą na dłużej lub na krócej, z tem zawsze prawie, że wrócą, że wrócą koniecznie, że poto właśnie się oddalają, ażeby móc szerszym tchem, silniejszym rzutem, chwytniejszym chwytem jać się warsztatu pracy — w kraju, dla czego bądź, szwankującego w ich życiu. Są to wychodźcy. Ludzie, których wcale nie należy uważać za ofiary, jak to nieraz się traktuje. Ludzie, którzy z ekonomicznego stanowiska są w pewnej ilości i mierze nawet niezbędni i mogą znakomicie dopomóc do pomyślnego i normalnego rozwoju swego kraju macierzystego.

Tak jest! I jeżeliby z tego tylko stanowiska emigranta traktować, miałyby się po swjemu jedno-

stronną rację. Ale... Poza stanowiskiem ekonomicznym istnieje jeszcze i osobiste. Każdy z nich przecież jednak jest czymś synem, narzeczonym, mężem, bratem! Każdy z nich opuszcza jakieś ognisko, które... niedość go grzało, aby nie musiał szukać pieniędzy na opał gdzieindziej. A w takim razie, były to, nieprawdaż?... ogniska raczej skromne, żeby nie powiedzieć: ubogie. Oczywiście, są wyjątki! Istnieją, na szczęście dla ludzkości, jeszcze ludzie, niezmuszeni żadną konkretną koniecznością oprócz własnego, wciąż szukającego rzeczy jutrzejszych i niewidzianych, ducha. Coś pcha ich naprzód i dalej, w jakimkolwiekby miejscu ziemi byli narazie: coś każe im poświęcać niewątpliwe dobro, jakie mają, dla wątpliwego dobra, które spodziewają się osiągnąć. Są to zdobywcy z fachu, jeśli się tak wyrazić można, pionierzy ludzkości i wiekuiści poszukiwacze dróg, którymi jeszcze niewielu przed nimi przeszło. Ale większość, szara, słoczona w międzypokładach ogromnych transportowców, niewidoczna większość — to ludzie, konkretnie dążący zagranicę po grosz, któryby dał im następnie możność znośniejszego bytu w Polsce. Wyjeżdżają, aby powrócić.

I oto powstaje pytanie: czy powracają?

Częściowo—oczywiście, tak! Gdyby jednak wracali wszyscy, nie mielibyśmy czterystutysięcznej kolonii polskiej w samym Chicago, z osiadłymi dawno i już nawet nieraz po polsku słabo lub wcale niemówiącymi tysiącami rodzin. Nie mielibyśmy ich i w innych krajach. Ale mamy, więc—wracają nie wszyscy. Część pozostaje na jedno, dwa, lub kilka kolejnych pokoleń z tem, że już niedługo—a wrócą. Że tylko zlikwidują interes, że tylko pokończą zaczęte akcje, że tylko troszkę jeszcze—a wrócą. Inni—rezygnują zgóry z powrotu, bo nowe związki, małżeństwa, obywatelstwo obcokrajowe i t.p. tak dalece ich wciągnęło, przy pomyslniejszym nieraz dobrobycie, że decydują się na ekspatriację. Tych zresztą—mówię o świadomości takiego postanowienia—dużo nie jest. Ale zato olbrzymia większość, przybywająca na obczyznę z najszczerzym zamiarem czasowego tylko pobytu i najprędszego powrotu, jest dzięki tysiącym warunkom narażona na to, że powoli i nieznacznie obceje i wynarodawia się, zapomina mowy i obyczaju—i tylko obrządek religijny jest ostatnią spójnią pomiędzy nimi, a krajem. To są ci, o których nie troszczą się w rodzinie ich własnej, lub w tej wielkiej, wspólnej rodzinie, jaką jest każdy naród: o których nie troszczą się dość.

Bo, rzecz prosta, urzędowa opieka nie wystarcza i nie może wystarczyć. Ktoś musi pozaurzędowo, społecznie poniekąd, narodowo—rodzinnie!..—przypomnieć czasem tym dalekim naszym braciom, że—miejsca ich w sercach strzeżemy! Że nie zerwała się ta nić, o której, dzięki przestrzeni i czasowi, sądzą nieraz, że już nie istnieje. Że na tej wątlej niteczce pamięci zdaleka, zdaleka, przyciągamy ich jednak wspólnym, zbiorym wysiłkiem do rodzimego brzegu, jak rybacy,

holujący zbłąkaną łódź. Że — pamiętamy! Wolnościowe czasy przyniosły nam kilka towarzystw społecznych, poza urzędami, które za cel sobie postawiły, na szczęście, to przypominanie emigrantowi, że miejsce jego w kraju czeka, niezajęte. Jednym z nich jest t. zw. „Opieka polska nad rodakami na obczyźnie“, która między innymi sposobami, aby emigrant nie tracił łącznika z krajem, urządziła już dwukrotnie obchód wigilijny dla robotników, szkół i t. p. w rozmaitych kolonjach emigracji polskiej, od najbliższej strefy Francji, Niemiec i innych, aż po Daleki Wschód. Nie łatwo jest ani zdobyć fundusze, ani urządzić cokolwiek bądź na odległość nawet mniejszą, niż... Atlantyk. Jednak, serce jest motorem pierwszej potęgi i może nierównie więcej, niżby rozsądek uważał za możliwe. Zeszłego roku „Opieka polska nad rodakami“ wysłała na gwiazdkę emigrantom: skrzynię zabawek i podarków; 11 skrzynek ozdób choinkowych w stylu ludowym polskim, wraz z podarkami; 15 pudełek z opłatkami, 800 książek i 1,860 egz. jednodniówki własnej wigilijnej, z opłatkami w każdym numerze. Nadto do paczek i książek było dołączonych około 200 listów od ofiarodawców i od „Opieki polskiej“, jako takiej.

Ktokolwiek z temi rzeczami się nie zetknął, nie ma pojęcia, wiele trudu i ofiarności kosztuje taka akcja ze strony dobrowolnych orędowniczek, które się jej podejmują. Ale nie wie też, i wiele radości płynie z listów, jakie potem do Centrali nadchodzą. Jest to przystem sprawa nie tylko społeczna, ale i głęboko narodowa: utrzymanie wychodźcy w łączności z krajem, podsygnięcie małym nieraz wysiłkiem wielkiego ognia, który gaśnie pod obcym wiatrem: to — wiele! I do tej akcji każda rodzina powinna przystąpić. Każda rodzina — to powiedzenie ogólnikowe: każda matka w rodzinie. Reszta już robi się sama: dzieci są zawsze najgorliwszymi pomocnikami w tej sprawie i najmiłsze, śmieszne dziecinne liściki przy opłatku „do kochanego żołnierzyka“, albo „do pana robotnika, który musi wciąż mówić tylko po francusku“ (!?) — wywołały niejedną łzę na surowych, zaciętych w twardej walce o byt, twarzach dalekich odbiorców, kiedy miejscowy komitet zgromadził ich na wilję, czy choinkę dla rozdania przysyłanych darów i listów.

Matki rodzin! Zostawcie w sercach waszych jedno niezajęte miejsce w dniu wilji już od dziś i zaczniście na tem miejscu gromadzić potrosze, przez diatwę waszą i znajomych, maleńki stosik książek, mydeł, papierosów, pierników, wstążek, koralików, ozdób ludowych, szcotek i grzebyków, chusteczek... czy ja wiem, czego by jeszcze?! Byleby na wierzchu znalazła się paczka opłatków i dokładny adres „Opieki polskiej nad rodakami na obczyźnie“ (Krak.-Przedmieście 6, m. 11a—konto P. K. O. 15326). I byleby nie było to później, jak przy końcu listopada, bo musi być zawczasu segregowane, pakowane i wysyłane w dalekie kraje.

Niech cząstka waszej radosnej, rodzinnej wilji spleynie i na kogoś samotnego daleko!

ZOFJA MISZEWSKA

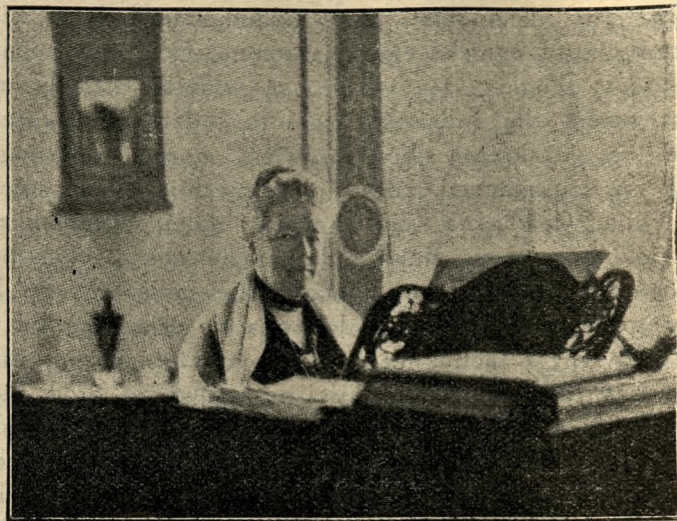
SERCE PÓŁNOCY

(Pięćdziesięciolecie pracy pisarskiej Selmy Lagerlöf)

Napływ obcych literatur przychodzi do nas okresami: po okresie łaciny, niosącej pierwsze przebły-
ski kultury, po salonowej i trochę papuziej modzie francuszczyzny, zaczęliśmy badać logiczność rozumowania niemców i transponować na nasz grunt mieszczańską beletrystykę. Potem już przyszedł okres rozpamiętywania błędnego koła własnych udręczeń, aż do zapalczywego zapatrzenia się w jeden punkt niezmienny i najważniejszy, jakim była Niepodległość. Ten ostatni okres trwał najdłużej, i—czy mu było na imię romantyzm, czy pozytywizm nieodwołalnie jednak swym ciężarem ideowym zatarasował nam drzwi do Europy i odciął od reszty świata literackiego. Świat ten w tym samym czasie, choć może nie tak silnie, przeżywał podobny okres somnambulicznego zapatrzenia się w samego siebie, a kiedy rozejrzał się i ogarnął dalszy widnokrąg, okazało się, że i Polska poczęła już roztrząsać sprawy wszechludzkie. I to jest właśnie dzień dzisiejszy. Dzisiaj bowiem czerpiemy oburącz z literackiej Europy i zarówno w książce niemieckiej, jak francuskiej lub angielskiej znajdujemy nic porozumienia między nami, a tymi zdaleka,—które na imię będzie—człowiek.

Ta możność wzajemnego porozumienia ideowego rozszerza niesłychanie krąg działalności międzynarodowego słowa i pozwala obecnie wchłaniać coraz to nowe regiony literackiej Europy.

Środkową Europę znamy już z tradycji i witamy, jak dobrą znajomą. Przynosi nam ona pogłębienie myśli filozoficznych, coraz ciekawszą budowę charakterów i coraz wyraźniejszy posmak międzynarodowości. Nowością natomiast jest dla nas obecnie Południe i Północ, czyli, ściśle mówiąc, Hiszpanja oraz Szwecja i Norwegja. Hiszpanja, to jeszcze Blasco Ibanez i obecnie modny Miguel de Unamuno, — znowu problemy wszechludzkie, z lekkim podmalowaniem miejscowego tła, ale bez specjalnego kolorytu nacionalnego. Szwecja i Norwegja ma jednak oblicze wyraźniejsze: jest, bowiem, w tych książkach coś z zimnej dalekości i cichej, a nieutrudzonej pracy ludzi północy. Problemy ogólnoludzkie, podniesione na sam szczyt ważności, poczynają się wikłać i rozbijać o twarde charaktery skandynawskie i wypływają na końcu książki w nowej i specjalnej postaci. Kto wie, jakby to rozstrzygnął Francuz lub Niemiec,—może nawet zupełnie jednakowo; pisarz dalekiej północy podejździe do danego zagadnienia od strony specjalnej, w której surowość graniczy z najbardziej bezpośrednią uczuciowością. To już nie jest maniera, ale właściwość, której podlegają najbardziej współcześni pisarze, ci nawet, którzy usiłują się wyłamać z pod przemożnej władzy swej przynależności narodowej; a jaką drogą



Selma Lagerlöf

weszło ono do ich dusz, zrozumiemy dopiero wówczas, gdy dobrze wnikiemy w utwory Selmy Lagerlöf.

Selma Lagerlöf, bowiem, łączy w swej twórczości całe szeregi pierwiastków, które u innych pisarzy szwedzkich, rozsypane częściowo i sporadycznie, nie pozwalają objąć całości. Stojąc na pograniczu dwóch wieków (jak wiadomo, pierwszy jej utwór „Gösta Berling” został napisany w 1878 roku), nie zdołała wziąć w siebie całości międzynarodowego kultu człowieka, jaki głoszą dziś wszystkie literatury świata, lecz połączyła głęboką filozofię z jaskrawym nacjonalizmem, a nawet regionalizmem. Przywiązanie do ziemi, jej tradycji i legend, stało się zresztą punktem wyjścia do jej twórczości, gdyż impulsem do napisania „Gösta Berling” stały się odwieczne legendy prowincji wärmlandzkich, jej rodzinnego zakątka.

Lecz nawet już w „Göście Berling”, który był przecież świadomem odbiciem szwedzkiego folkloryzmu, widzimy pierwsze zaczątki filozofii Selmy Lagerlöf, która istnienie człowieka na ziemi łączy ściśle z siłą wyższą, z wolą Boga, który karze i nagradza.

Wola Boga, według Selmy Lagerlöf, nie stoi zdaleka, aby wystąpić nagle i niespodziewanie. Idzie ona krok w krok za człowiekiem, ma z nim bezpośredni kontakt i wyraźnie kładzie swe piętno na jego czynach. Selma Lagerlöf patrzy na życie przez pryzmat surowego moralizmu, a jednocześnie z wielką dobrocią. Jest to filozofja kochającego serca kobiety, które w dziedzinie komplikacji uczuciowych nie może znaleźć innego punktu wyjścia, jak poświęcenie i samozaparcie. W „Göście Berling” moment ten występuje jeszcze dość słabo, przytłumiony tempem i barwnością starej legendy, przebija się w niektórych charakterach, a przede wszystkim w charakterze główne-

go bohatera. Jest on tu jednak konkluzją spraw, a samo poświęcenie dla ogółu staje się ekspiacją za dawno popełnione winy. Moment pokuty występuje w twórczości Selmy Lagerlöf narówni z zagadnieniem poświęcenia, wiążąc się z niem ogniwami przyczyn i skutków. Cały „Gösta Berling” jest przecież historią pokuty. Kara za winy nie jest faktem realnym i narzuconym z boku przez ślepią ludzką sprawiedliwość, lecz staje przed winowajcą, niby Ananke, groźna, nadprzyrodzona siła, którą jednak kieruje Bóg, o miłującym, pełnym przebaczenia, sercu. Człowiek Selmy Lagerlöf przyjmuje wszelaką pokutę prosto i świadomie. Ma duszę mało skomplikowaną i uderzają weń raczej fakty rzeczywiste, aniżeli załamania psychiczne.

W bardziej skomplikowany sposób przeprowadza Selma Lagerlöf momenty poświęcenia, które prawie że wypełniają ideologię jej dotychczasowej twórczości. Punktem wyjścia dla poświęcenia będzie zawsze miłość, lecz nie miłość erotyczna, a raczej miłość dziecka do rodziców. Erotyzm w twórczości Selmy Lagerlöf jest usunięty nabok i występuje, jako efekt poboczny. Nawet w utworze p. t. „Ojczyzna Liljenkrony”, który sama autorka nazwała romansem, punktem kulminacyjnym nie jest miłość Maji Lizy do młodego Swena, lecz jej uczucie dla ojca, które każe jej w milczeniu znosić zniewagi macochy i milczeniem przyjąć na siebie winę, która ma ją nazawsze rozłączyć z ukochanym. Tego samego rodzaju komplikacje spotykamy w powieści p. t. „Charlota Loevensköld”, z tą różnicą, że Charlota poświęca się w imię przywiązania do matki narzeczonego, chcąc jej oszczędzić rozczarowania, co do moralnej wartości syna. Wogóle utwory Selmy Lagerlöf są gloryfikacją uczuć rodzinnych. Największe tragedje i największe powodzenia poczynają się z powodu przekleństwa, lub błogosławieństwa matki, a poświęcenie i miłość rodziców widzimy niemal w każdej książce. Niema natomiast ani wielkich tragedji, ani ogromnych i ponurych zbrodni. Są tylko wielkie smutki i ciche radości, a sprawy bieżące kręcą się w małym światku rodzinnych stron autorki i raz poraz uderzają o kogoś z tamtych ludzi. Tu mimowoli przypominają mi się „Ludzie stamtąd” Marji Dąbrowskiej. Można by przeprowadzić wiele analogji; zasadniczą różnicę jednak między powieściopisarką polską a szwedzką będzie wyraźny koloryt romantyczny tej ostatniej. Wszystkie jej postacie, od buńczucznych kawalerów Wärmландu, do zapatrzzonego we własną świętość pastora z „Charloty Loevensköld” mają w sobie coś z fantastyczności. Zarówno typy mężczyzn, jak i kobiet, mają w sobie jakąś dziwną nierealność, niedostosowanie do codziennego życia. Jednak tło powieści nie podkreśla tej ich „inności”, będąc samo wielką poezją skandynawskich legend. I to nietylko „Gösta Berling”, pisany „a priori”, jako legenda, ale i inne powieści, które chciały być rzeczywistymi. Nie udaje im się to jednak: przekleństwo, a raczej błogosławieństwo poezji

leży na nich niezmiennie, i zawsze „Ojczyznę Liljenkrony” będziemy rozumieli, jako skandynawską odmianę baśni o złej macosze, a „Charlotę Loevensköld”, jako cudną historję o królewiczu, poślubiającym biedną dziewczynę. „Ludzie stamtąd” to jest dla nas historia o dniu dzisiejszym i doskonale umieścimy nasze zrozumienie w ramach tej powieści. Utwory Lagerlöf zawsze będą miały dla nas posmak czarodziejstwa i dalekiej północy, aczkolwiek to są także opowiadania o „ludziach stamtąd”. Jedno tylko mają wspólne ci polscy i ci szwedzcy, to — serce. U Selmy Lagerlöf wszystko się dzieje w dziedzinie uczuciowości. To nic, że wszystko obraca się w małym światku małych miasteczek, cichych domków pastorskich i skromnych ludzi. Serca ich wyrosły ponad miarę wszytkiego i w swej zewnętrznej surowości są bezcenne.

Wszystko z nich wynika: i wielkie, przekreślające całe życie, pokuty, i poświęcenia i właśnie to, że ten daleki, zimny kraj wydaje się nam, polskim czytelnikom, taki niesłychanie bliski i zrozumiały. Selma Lagerlöf nie jest współczesną, ani, tembardziej — międzynarodową. Utwory jej nie zawierają żadnych dziwolągów psychologicznych, żadnej ekwilibrystyki słów, ani niespodzianek w budowie powieści. Zawierają one serce, serce północnych ludzi, które jest głębsze i bardziej w sobie zwarte, aniżeli rozlewny sentymentalizm południa. Gdyby nie napisała ani prześlicznej legendy, jaką jest „Gösta Berling”, ani tych wszystkich innych pięknych i subtelnych utworów, dostałaby może nagrodę Nobla jedynie za powieść p. t. „Król Portugalji” (w przekładzie polskim — „Tętniące Serce”). Niema w tej książce ani cienia erotyzmu, ani żadnej intrygi, ani tempa akcji: jest tylko wielka miłość ojca do córki, opowiedziana od pierwszych dni jej życia, aż do śmierci ojca. Nic więcej, — a jednak tyle tam jest piękna i poezji, że czyta się ją z zapartym oddechem. „Gösta Berling” i „Król Portugalji” są to dwie powieści Selmy Lagerlöf, będące odbiciem najistotniejszych rysów jej twórczości: folkloryzmu z jednej strony i wybitnej uczuciowości — z drugiej. Pozostałe utwory są połączeniem tych elementów, z mniejszą lub większą przewagą jednego z nich.

Selma Lagerlöf obchodzi obecnie pięćdziesięciolecie swej pracy literackiej. Młode pokolenie literackie Szwecji patrzy na nią, jak na swą duchową przewodniczkę, bo choć odeszło od jej twórczości znacznie dalej, a nawet bardzo daleko, jednak zachowało w sobie tę świeżość i bezpośredniość uczuciową, oraz specjalne romantyczne zabarwienie, jakie cechowało i do dziś cechuje utwory Selmy Lagerlöf. Daleką jestem od nazwania młodych literatów szwedzkich jej epigonami. Twierdzą natomiast, że w twórczości jej spłotło się tyle różnorodnych elementów, właściwych literaturze skandynawskiej, od tła począwszy, a skończywszy na specjalnym tonie w pojmowaniu zagadnień życia, że jest ona jakby kluczem do zrozumienia duszy Północy. Ale przedewszystkiem — serca.

LUCYNA KRZEMIENIECKA-WOLICOWA

J E S I E Ń

Zatańcował, bez sił aż opadł
płomienny, czerwieny listopad.

Nawałęsał się wiatr po polach,
odpoczywał w zrudziałych topolach.

Po ścierniskach i rzyskach się kłębił,
szukał ust najkрасniejszych jarzębin.

Lilipucie czapeczki żółdzie
z drzew strącał w szalonym pędzie.

Potem dął w kasztanowe kruszynki,
w zielone kółczaste pierzynki.

Potem cicho spadały listki,
wszystkie złote, czerwone wszystkie.

Malował, haftował się dywan,
zwiądłem sercem do ziemi przywarł.

Teraz czeka w bronzowej alei
panny młodej—jesiennej zawiei.

ZDAWAŁO SIĘ, ŻE JUŻ NIGDY
NIE BĘDZIE...

Zdawało się, że już nigdy nie będzie
pogodnych poranków przeżywać.
Zdawało się, że już nigdy nie będzie
na niebie naiwnej radości,
że już nigdy nie ucieszą zwyczajnie
koszyki rumianego pieczywa,
że nie przejdzie się już nigdy spokojnie,
z jasną twarzą przez szary kościół.
I zdawało się jeszcze, że chwile
złe mieć muszą asfaltowe twarze
i nikomu niepotrzebne cierpienia
zapomnianych, starych panien służących,
i że miotły, skrzypiące o piątej,
głuchą niechęć będą zawsze rozżarzać

i że nigdy się nie spojrzy litośnie
na dni smutne i na liście więdnące.
Aż z oddali przyszła cicho godzina
o lilijnych, przenajświętszych dłoniach.
Aż z oddali przyszła cicho godzina
o nadziejnych, szafirowych oczach.
Przed wiekami się zrodziła pod krzyżem,
kiedy człowiek umęczony konał,
pozbierała, nawlekąta pociechy,
nie dawała radości odpocząć.
I znów niebo „jestem“ krzyczy błękitem,
i znów słońce „jestem“ krzyczy złociście,
i znów serce może wstawać przed świtem
rozmodlonym, witrażowym liściem.



EWA SZELBURG

KATARZYNA

Katarzynę coś tknęło.

Prasnęła o ziemię motyką i skoczyła do płotu.

Chwyliła się obiema rękami za dębowe draki, piersiami wparła się w rygiel i wypatrzyła kare oczy przed siebie na łąkę.

A jakże! wojsko szło.

W kurzu, w ośmach i migotach waliło wprost na steczkę wpodłe chałupy.

Katarzyna zakolebała się u płota: — zostać, czy uciekać?...

Została.

Żołnierze wychynęli z kurzu, jak perkozy z wody.

Katarzyna umkła oczami ze steczki. Raptem, uderzył ją prosto w twarz skisły żar, buchający od tych zdrożonych chłopów, jak z chlebowego pieca.

Podniosła czujnie głowę.

Przez niespojone draki dębowe spadł na nią dziesiątek czerwonych, rozpalonych, oczu i zatopił się w jej dwojgu karych oczach, nagle zwilgotniałych.

Katarzyna oderwała się od płota i zatoczyła między grusze:

— Zara... zara... ady już... — wybełkotała jeszcze i już gnała, leciała, pędziła do studni!

Wróciła do płota z dwoma pełnymi wiadrami i z kubkiem, czerwona, uchlapana po piersi.

Już czekali, zbici w kupę u wyrwanego draka.

Katarzynę zatknęło od pośpiechu, jakby między piersi wbił jej ktoś długą, rosochatą drzazgę. Zgięła się więc w pasie i, z rękami, przyciśniętymi do mokrego kaftana, patrzyła na pijących żołnierzy.

Szerokie ręce mocnych chłopów lgnęły łapczywie do zimnego kubka; stężałe twarze poprzez brud i pot rozjaśniały się lśniącem uśmiechem, a spękane, suche wargi już po pierwszym łyku wody rozkwiatały, jak mięsisty kwiat czerwonej begonji.

Nim jednak kare oczy Katarzyny zdążyły na którym z nich spocząć dłużej, już ci, co ugasili pragnienie, zanurzali się znowu w sypki kurz, jak szare perkozy w perlistą wodę, a na ich miejsce u wiader kupili się nowi, cuchnący palącą ich zgagą.

Teraz Katarzyna raz poraz gnała z wiadrami do studni i zpowrotem. Pojła wciąż tych rosnących chłopów, opadłych na szczyt ze sił.

Patrzyła z lubością dobrej gospodyni na ich lśniące karki, gdy schylali się nad wiadrem dla zaczerpnięcia wody, na krwiste policzki, gdy podnosili kubek do ust, na szerokie bary, gdy odwracali się i odchodzili, wzmocnieni i zjędrniali.

I znowu szła po wodę dla nowonadchodzących. I znowu stawiała pełne wiadra u wyłamanego w dębowym płocie draka.

Aż wreszcie nadeszli, napili się i odeszli ci ostatni. Katarzyna została u płotu sama, nad pustymi wiadrami, stojącymi na zdeptanej murawie, nad próżnym kubkiem, leżącym w mokrym piasku.

Przed karemi oczami Katarzyny, zapatrzonemi w pustkę drogi, wykwitł powoli czerwony kwiat begonji, mięsisty i żywy, jak napojone usta.

Uśmiechnęła się i ręce, bolące od noszenia wody, położyła sobie ostrożnie na zmęczonych kolanach.

Dobrze też było odpoczywać w ciszy. Nagle, ni stąd ni zowąd, zerwał się wiatr i to silny. Uderzył z całej mocy skrzydłem w niemą ziemię i niemą ziemia westchnęła głucho:

— Pić!

Katarzyna z trudem dzwignęła powieki i ręce nabrzmiałe.

— Nie, nie udzwignie już dziś ani jednego wiadra.

Ale ziemia przeciągnęła się z chrzęstem poraz drugi i warknęła groźnie:

— Pić!..

Zalękniona kobieta bezradnie rozejrzała się po niebie:

— Ani jednej chmurki!

A ziemia nie przestaje jeżyć się i warczeć złowrogo:

— Pić! pić!..

Jest w tym łaknącym głosie ziemi groźba straszliwa, śmiertelna. I kobieta, przytulona do złamanego płotu, wie, że jeśli rozkaz łaknącego potwora nie zostanie natychmiast spełniony, to...

Nagle zagrzmiało poza lasem i czyste wieczorne niebo przecięła błyskawica.

Katarzyna odetchnęła z bolesną ulgą.

Czerwony kwiat begonji, który widziały jej kare oczy na pustej drodze, zbladł nagle i obwisł, jak kornające usta.

Nad ziemią, wyczekującą w łapczywym milczeniu, wybiegł nagle od strony, w którą pomaszerowało wojsko, spłoszony księżyc i uciekał po niebie. Był cały czerwony, umazany w dymiącej krwi.

* * *

Ziemia napojona znów stała się miękka i łagodna. Z macierzyńską tkliwością przytuliła się do jakiegoś bezimiennego, maluteczkiego ziarnka.

Kołysze je sobą i szepcze mu:

— Rośnij... rośnij... rośnij...

Katarzyna wstała z murawy, przypomniała sobie, że jutro ostatni czas się rozsądę. Pochyliła się, zbiera próżne naczynia i szybko odchodzi do domu.

...Noce na wiosnę są krótkie.

LUCJA KNOLLÓWNA

BLIŹNIĘTA OW CZARZOWE

Najlepiej było w dnie wietrzne. Biegły wtedy bliźnięta owczarzowe na górkę, wśród lasu, kędy przez poręby szmat wrzosowisk prześwitywał, ku zachodowi się gdzieś, hen, ciągnąc, jakby niedbale rzucony na mniejsze coraz i mniejsze pagórki. Tam najmocniej dęło. Wiatr rozszumiały, mocny, a zajęty, a w dal śpieszący, od niechcienia tylko niby po twarzy im bił w tym przelocie; a jednak odrazu w ogniu stawały policzki, a od świszczącego grania kuliło się coś w uszach i mąciło w gowie. Nie śmiało żadne odezwać się wtedy, wśród owego skupionego słuchania, a w powietrzu aż huczało od szybko, równo przelatujących, mocarnych jakowychś tajemnic. Wyteżały dzieci słuch i na chwilę koilo się w nich niespokojne serce. Boć może wśród tych głosów wiele usłyszą wreszcie tę rzecz jedną, dziwną, a tajemną, której napróżno wciąż szukały w tęsknocie, a milczeniu nabożnem. Tęsknotę ową, czasu tyle po wszystkich boru ścieżkach i zakątach ich wodząca, kołysały w zawierusze dni wietrznych. Ale odgadnąć wciąż nie mogły. I ojciec ciągle nie wracał.

Słońce w dnie takie, bezsilnie się, jak dziecko, ku ziemi ciągnące, wciąż dławione kłapcami rozkudłanych chmur, na strzępy cięte na płatach wrzosowiska plamami szybko pełzającego, zimnego cieniu, nie umiało nic powiedzieć. Jak urzeczzone, sunęło tylko równo ku tej samej paszczy oddalenia, skąd szła wiatrowa muzyka. Może się tam zejda za krańcem ziemi, za nieogarnionym pasem mokradeł, skąd zalatuje woń trzciny wilgotnych i dziwnych, trujących ziół? W tę właśnie stronę poszedł był ojciec z koszturym swoim i torbą na ramieniu, wrywać, jak zawsze, niebu, ziemi i wodzie owe moce, nieznanie nikomu, przez liść każdy i trawkę strzeżone zazdrośnie. Tam przy zorzy gasnącej raz ostatni na ścieżki zakrętach mignęła siwa jego podniesiona głowa, a cień długi i dziwaczny, jakby przyzostając, płaszczył się na darni, na pniu każdym i kamieniu znagła się przelamując ostatni raz. Może go śnać słońce na tej drodze dogoni, może śnać o nim usłyszy?

Ale słońca o nic pytać nie można. Kiedy może — świeci równo, jednak zawsze, bez słów, albo górą nad chmurzyskami samo wędruje, sobie, nie komu. Nie powie nic. Niedarmo zawsze najmędrsze rzeczy w oćmie się dzieją, nocą. Wiedzą o tem dobrze bliźnięta owczarzowe.

Toć nocą, nie we dnie, chodzili z ojcem na uroczyska ziele, żywicznie pachnące, z rosy otrząsać. Żywokostowy korzeń z pod kamieni wygrzebywali rękami, słowem się, sztucznie splecionem, biesom odze-

gnując północkowym. O drugim kura pianiu, na nowiu księżycowym, listeczki drobne macierzanki skubali ostrożnie, by je cichcem, przed świtaniem, z ziarnem uwarzyć blekotowem. Ścieżkami waziutkami, jak siatka misterna rzuconemi wśród mokradeł niezgłębionych, szli, śladem błotnego ognika, legowiska tropić żmijowe. Jęczało coś wtedy w trzcinach zalęknionych, a zgrzyty zazdrosne błotami szły, jak zawodzenie czarcie. Ale wziął zawsze, czego chciał, pewny swej siły, on — ojciec. A tylko teraz — nie wracał.

Daremnie go szukali dni tyle po zakamarkach borowych. Daremnie on pytali zórawi jękliwych, z bagna wracających. Biegli, za ręce się wzięwszy, aż na skraj łąk, kędy się pod nogą już grunt uginać zaczynał. Dalej bali się stapać bez straży zakłębionych ojcowych. Nad rowami jeżaste, zuchwałę gałki szaleju drwiły z nich, wprzód się i w tył chwiejąc. Drwiły z nich paprocie w boru, już o swój kwiat świętojański bezpieczne, — i krzaki kolczaste, i kłody powalone wokół starej kaplicy na polanie. Nie wynajda wśród nich ścieżki zdeptanej, nie wymacają pewną ręką mogiły świeżej, ani wydra trupom przegniłym do czarów najzdatniejszego piątego dzwona pacierzowego małe, samotne bliźnięta owczarzowe.

Pod tą kaplicą drewnianą, wpół już rozsypaną, pod wiosną jakoś, kiedy mięknać zaczynała ziemia stężała, przyszła dziewczyna dziecko pochować niechrzczone. Przy księżycu, wśród siatki cieniów, od gałęzi bezlistnych padających, od witek poplątanych brzozy żalobnej, u dzwi samych, zdawna wywalonych, a cierniami zarosłych, mogiłkę mu wygrzebała, palce do krwi sobie kalecząc.

Modliła się wtedy do brzozy litosnych, aby przedej listowia dachem miejsce to skryły od oczu, nawet księżycowych. Do krzaku się modliła głogowego, by strzegł grobu od ludzi, czy zwierza, uściskiem braterskim ramion swych kolczastych. I świętego prosiła — drewnianego posążka z rozwalonej kaplicy, by nie dał biesom borowym, strzygom złośliwym dzieciątka jej malutkiego porąnockową na Łysą Górę wieść. I Boga wielkiego prosiła, by — choć przepomniała już ku Niemu drogi — sam się zaś zwiędział kiedy w tę stronę niteczką cieniuchną najmniejszego bodaj promyczka słonecznej swojej łaski. I na dziw szybko zazieleniło się to miejsce owej wiosny. Pośpieszyły z ziemi żdźbła trawy cieniutkiej, czombrem wonnym przeplatanej. Rozłożyły liście paprocie, wystrzeliły dzwonki wysokie, do świeczników podobne kościelnych, naparstnice jadowitej barwy

trupiej, a na wszystko zasiał się z wiatrem chmiel dziki, radosnymi pędami drzewa a krzewy chwytający.

Ale naleźli mogiłę. Na drugą pełnię ją naleźli, za przewodem ojcowym cicho w gęstwinie stąpając. Wywlekli z ziemi trupka ukrytego, wydarli krzakowi cierniowemu ciało strzygi malutkiej. Otworzyli w gałęziach drogę księżycowi i przy świetle jego wycięli z pod kolan żyły, szczęście przynoszące, do uroków odpędzenia pomocne. Ze drzeniem patrzyły dzieci, jak nawijał ojciec zdobycz na kołeczki równo ciosane, osinowe. Pierwszy raz byli kaplicy tak blisko. A ona cała jakby się przechyliła nad nimi w szlochu okrutnym. Ciekła lśniaca rosa po odrzwiach drewnianych. Stary zegar z kukułką, nad drzwiami uczepiony, marszczył, niby brwi, niezatarte jeszcze godzinowe znaki. A święty w ołtarzu, szerniał dremniany święty, jakby coś krzyknąć chciał, ale się zatrzymał i tylko ręce ku górze rozpacznie wznosił, a na każdej dłoni miał ranę, świeżą krwią brocząca. Nie krzyknął, ale oczy tak żywe miał i tak wiedzące, jakby już nic tam do mówienia nie zostało. Zapamiętały dobrze to spojrzenie bliźnięta owczarzowe. Długo z lękiem omijały to miejsce.

Aleć przyszedł czas, że się już miara przebrała tęsknoty i goryczy. Wzdłuż i wszcz przemierzili wszystkie skrytki boru; szybko stopą po stokroć przebiegli ścieżki łąkowe wokół krzów zwartych i gajów olszowych, ale nigdzie i na ślad nie natrafili ojca. Próbowali z wiatrem puszczać ździebełka rośnej mietlicy i październice, ogniem z drzewa zatartym zatłone. Ale im wiatr z szyderstwem zawsze tylko, w kółko się górą zakręciwszy, w oczy zpowrotem dał. Zamykały się przed nimi gąszcze wrogie, czepnymi sękami nastliwie. Uchodziły z pod rąk śmiejące się złośliwie owoce tarniny, gdy po nie dzieci dłonie wyciągały. Coraz dalszy i bardziej niezdoły, i bardziej beznadziejny był las i przestwór daleki, i noc, i dzień, i każda pora... Tedy się wreszcie zebrały do strasznej kaplicy na świtanie iść, świętego o wszystko pytać i oczu jego wiedzących.

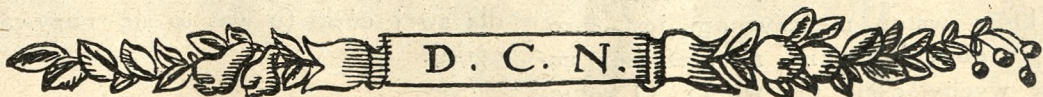
A już się był rok nieznacnie na dalsze zakręty drogi swojej przetoczył. Czernieć zaczynały wrzosiwiska, a rzędziejące na drzewach listowie z równej zieleni na tysiąc różnych rozłamało się barw pod białem całowaniem pierwszych przymrozków jesiennych. Wstawać jał ranek dnia tego, pełen mgły stojącej wśród powietrza perłowego, łagodny i ukojny, w paseczki cienkie chwilami rysowany deszczykiem drobnym. Stały krze poźółkłe, jakby słońca okruchy, zapomniane pod szarem nakryciem zaczętego zale-

dwie października. Ale krzak glogowy u kaplicy niezwyčajnem snać, niedorocznem okrył się dziś złotem, bo się odeń zdala na polanie świeciło, jakby się mgła cała słońcem opiła. Dziwowały się światłu owemu bliźnięta owczarzowe, a bardziej się jeszcze dziwować jęły, kiedy je wśród boru jesiennego kukułczy głos zagnała doleciał, jakby o wiosnie najrańszej. Patrzą, a to ze starego zegara kukułka się na zewnątrz wyrwała, — a otrząsa się, a nawołuje... raz, drugi, dziesiąty, bez żadnej już na godzinę pamięci. Zaś stary zegar oczy dobrotliwie przymrużył, jakby i sam o porę niedbający. Nasiedziało się ptaszysko czasu tyle wśród kółek popsutych, to niechże się raz jeden nakuka, natrzepece dowoli. Przelekły się tedy bardzo dzieci, a już dalej postępować nie śmiały, jeno za krzakiem przycupnąwszy, wyglądać jęły strachliwie.

A tu za głosem kukułczym świegot nagle dokoluśko rozdzwonił i spadła z góry ptaszeków chmara wesolutkich, ogonkami kręcących. Przyleciała wróbli szarych gromada, tych wróbelków, co na podstrzeszu zimę całutką raźno przegwarzą, zagrody swej w najzimniejszy czas nawet porzucić nierade. Przytrzeptały się gile brzuchate, pierza swego czerwienią same przed sobą udające, że lato trwać nieprzestaje. Zwinne sikorki, różnobarwne szczygły i sójki, takie zawsze lekliwe, na sidła się łowić niedające, przybyły oto i radośnie po polanie fruwały, do rąk iść gotowe.

Dziwowały się, a dziwowały dzieci, co się też z tego dalej stanie, niepomne nawet, poco pod kaplicę przyszły. Aż patrzą, wychodzi na próg święty, dobrotliwie się uśmiechający, a jak dokoła spojrział, wraz jaśniej się jeszcze stało, a złociej, chociaż słońce z za chmur ani myślało wyglądać. I naraz, jak krzykną ptaszęta wszystkie: — „Witaj nam, bracie Franciszku!” — jak się rzucą ku niemu, to go całego skryły kłębem piór. A tu się i drzewa wkoło poruszyły, zatrzepotały witeczkami najdrobniejszymi, właśnie, jakoby to ptactwo: — „Witaj nam, witaj!” — i posypały ku ziemi złotem, a kraśnymi liśćmi, niby dzieciątka w procesję Bożeciałową, kwiateczki przed sobą ciskające.

Patrzyły się, patrzyły bliźnięta owczarzowe, a szukały wzrokiem rąk świętego, by zobaczyć, zali się, jak wprzódy, krwawia w ten dzień niby święta wielkiego, choć nie pomniały, jakieby zaś święto przypaść mogło w tej porze. Ale nic wyraźnie dojrzeć nie zdołały z poza chmury ptactwa radosnego. Pojąć tedy nie mogły rozgwaru owego — a nie wiedziały, że były to właśnie świętego z kapliczki imieniny.



KAMALINI SHRINAGAMIR

LISTY Z NAD GANGI¹⁾

„Bogowie spoglądają z upodobaniem na dom, w którym kobiety są otaczane czcią i miłością; co dnia zlewają nań swe błogosławieństwo”.

Autorka niniejszych listów, pani Kamalini Shrinagamir, jest znaną w Indiach literatką i działaczką społeczną.

W 1917 r. przybyła wraz ze swym mężem, lekarzem wojskowym, do Francji. Do końca wojny pracowała w lazarecie polowym i kantine dla żołnierzy hinduskich. Następnie kilka lat spędziła w Paryżu i Londynie, oddając się z zapałem studjom naukowym i pracy w instytucjach społecznych.

„Jakie wrażenie wywarła na Pani Europa?” zadałam jej kiedyś pytanie.

„Wielkiego laboratorium eksperymentalnego. Byłam w niem pilnym uczniem i baczny obserwator. Pragnę gorąco, by ojczyzna moja umiała przyswoić sobie owoce waszych doświadczeń i ustrzec się waszych błędów” — odparła z prostotą.

Polskę poznała i pokochała dzięki kilka lat trwającej ze mną korespondencji. Obecnie jest Kamalini Shrinagamir jedną z najbardziej czynnych i wybitnych działaczek „Seve Sedan” (Stowarzyszenie Kobiet hinduskich).

(Przypisek tłumaczki L. J. L.)

— Pragnie Pani poznać Indje i zwraca się w tym celu o informacje do nas Hindusów? Objaw to zaiste niepowседневni.

To też jestem niezmiernie dumną i szczęśliwą, iż mnie właśnie przypadło w udziale dostarczać Pani tych informacji o mojej umiłowanej Ojczyźnie.

Ponieważ kwestja kobieca najbardziej Panią interesuje, zacznę więc od niej.

Nie jestem jednak historykiem, ani socjologiem, nie mogę się podjąć napisania uczonej rozprawy na temat: „Rozwój kwestji kobiecej w Indiach”. Mogę tylko skrętnie notować fakty, pisać o tem jak żyjemy, do czego dążymy, jak pracujemy nad przywróceniem Aryawarcie jej dawnej świetności i chwały.

W powieściach Tagorego, których akcja rozgrywa się w Bengalu i Punjab, a więc w północnych prowincjach Indji, czyta Pani o zawołowanych kobietach, którym nie wolno widzieć się z mężem, ani rozmawiać z nim w obecności obcego mężczyzny, nawet brata męża. O kobietach, które podróżują w specjalnie dla nich przeznaczonych wagonach, a mieszkają w rodzaju haremu, pokoje ich bowiem są oddzielone od reszty mieszkania ciężką zasłoną, zwaną „purdą”, poza którą wstęp mężczyznom jest surowo wzbroniony, z poza której im również bez zasłonięcia twarzy wychylać się nie wolno. O kobietach, wydawanych zamąż w dzieciństwie i oddających

swym mężom cześć niemal boską. Wszystkie te fakty są zgodne z prawdą, nie można ich jednak uogólniać na całe Indje.

Mówiąc o Indiach, Europejczycy zapominają o tem, jak rozległym krajem jest moja Ojczyzna, i że liczy ona blisko 300 milionów mieszkańców. Ludność tego istnego kosmosu nie może być jednolitą. Oprócz Hindusów, stanowiących dwie trzecie ludności, mieszkają w Indiach muzułmani i persowie, potomkowie dawnych najeźdźców.

Każdy z tych narodów ma swoją odrębną religję, kulturę, mowę i zwyczaje.

Muzułmanie przybyli do Indji około 6 wieków temu. Założyli oni potężne państwo, obejmujące niemal całe Północne i Środkowe Indje, a choć trwało ono niespełna dwa wieki, muzułmanie stanowili odtąd znaczny odsetek ludności tych prowincji. Wiele swych zwyczajów narzucili oni tubylczej ludności, wiele przyjęła od nich w ciągu wieków współżycia. Kultura muzułmańska zaważyła zwłaszcza na losach kobiety. Temu wpływowi muzułmańskiej kultury należy przypisać ogromną różnicę, istniejącą dziś pomiędzy warunkami życia kobiety na Północy, a na Południu, gdzie zachowała się dotychczas czysta hinduska kultura.

Na Północy ubierają się kobiety w bufiaste szarawary, a twarz kryją zasłoną. Na Południu zaś noszą długie klasyczne „sarce”, a głowy nie zakrywają wcale. Na Północy zwracanie się wprost do męża lub choćby tylko mówienie o nim w liczniejszym towarzystwie, jest uważane za wielką „nieprzyzwoitość”.

Nieprzyzwoitością jest również wychodzenie na ulicę z odkrytą twarzą. Kobiety nie są, co prawda, obowiązane do noszenia stale zasłony, muszą ją jednak naciągać natychmiast, gdy mija je obcy mężczyzna.

Na Południu jest kobieta wolną, całkowicie zrównaną w swych uprawnieniach z mężczyzną. Przeważnie sama wybiera sobie męża.

Na Północy zaś jest niewolnicą „purdy”. Po większej części nie zna swego męża do dnia ślubu; jest wydawana zamąż w dzieciństwie; przytem w jednych okolicach mąż musi kupować sobie żonę, w innych zaś, przeciwnie, rodzice kupują męża dla swej córki (u was to się nazywa wyposażeniem córki).

¹⁾ Gangi — hinduska nazwa rzeki Gangesu.

Ponieważ małżeństwa dzieci są jednym z ciężkich zarzutów, stawianych nam przez Europejczyków, chcę więc obszernie omówić tę sprawę. Małżeństwa dzieci były dawniej bardzo rozpowszechnione również i w Europie. Typowym przykładem jest małżeństwo polskiej królowej Jadwigi, o której mi Pani pisała. Dotychczas prawodawstwo angielskie dozwala na małżeństwo dwunastoletnich dziewczynek. W praktyce jednak tak wczesne małżeństwa wyszły ze zwyczaju w Europie. U nas trwają nadal, nie są jednak tak straszne, jak je opisują podróżnicy Jacolliot, Mago i inni.

Małżeństwa te, zawierane przez dzieci pomiędzy 8—12 rokiem życia, są właściwie uroczystymi zaręczynami, które nie mogą być zerwane. Jednak do 13 — 15 lat dziewczyna pozostaje przeważnie w domu swych rodziców.

Kobiety u nas dojrzewają i starzeją się o wiele wcześniej, niż u Was, ludów Północy.

Oto jedna z przyczyn tych wczesnych małżeństw. Drugą zaś był wzgląd na bezpieczeństwo kobiety. Gdy muzułmanie zawojowali Indje, porywali oni do swych haremów wszystkie niezamężne kobiety, nawet dziewczynki nieletnie. Aby je bronić przed upodleniem, zaczęto zawierać małżeństwa pomiędzy dziećmi. Często rodzice męża zabierali swą kilkoletnią synową do siebie i wychowywali ją wraz ze swemi córkami w kobiecej części domu.

Obecnie jednak niebezpieczeństwo to istnieć przestało. To też liczne u nas stowarzyszenia kobiece podjęły energiczną walkę z małżeństwem dzieci. W wielu niepodległych państwach hinduskich prawo zabrania dziewczętom zawierania małżeństw przed ukończeniem 16 lat. Odnośne prawa nie zostały dotychczas wydane w prowincjach brytyjskich, gdzie społeczeństwo nie ma najmniejszego wpływu na prawodawstwo.

Teraz więc musimy poprzestać na prowadzeniu energicznej propagandy wśród społeczeństwa. Że wydaje ona dobre rezultaty, świadczy fakt stałego zmniejszania się procentu żonatych studentów. Według świadectw dr. R. P. Paraujpye, ministra oświaty w prowincji bombajskiej, 40 lat temu prawie każdy student był żonaty. Obecnie zaś % żonatych studentów wynosi:

 pomiędzy 16 a 20 rokiem życia 10%

 „ 20 a 25 „ „ 30%

Religia nasza nie sprzeciwia się rozwodom. Nie uznaje ich jedynie ustawodawstwo wyższych kast,

które zabrania kobietom swym starać się o rozwód. W praktyce jednak żadna kobieta nie myślała nigdy o rozwodzie. Dziś zaś nawet w pismach spotykamy liczne ogłoszenia porzuconych żon, że wyjdą one powtórnie zamaż, o ile mąż nie powróci do domu.

Również i w traktowaniu wdów zaznacza się wielka zmiana na lepsze.

Według naszych wierzeń szczęście i nieszczęście, spotykające nas w obecnym życiu, są nagrodą lub karą za czyny, popełnione w poprzednim wcieleniu. Śmierć męża jest poczytywana za najcięższą karę, jaka może spotkać kobietę, aby więc zasłużyć na nią, musiała popełniając jakąś straszną zbrodnię. Wszyscy też uważają wdowę za winną śmierci swego męża. W wielu wypadkach jest ona prześladowana przez rodzinę męża. Nie wolno jej nosić żadnych klejnotów, jest traktowana, jak sługa i t. p., cierpi różne inne dokuczliwości.

Jedynym wyjściem z tego ciężkiego położenia byłoby powtórne małżeństwo. A choć religja małżeństw takich nie zabrania i jedynie ustawodawstwo bramińskie uznaje trwałość małżeństw nawet poza grobem, to jednak do niedawna jeszcze małżeństwa z wdowami nie były wcale zawierane.

Obecnie, dzięki usilnej propagandzie stowarzyszeń kobiecych, trafiają się one coraz częściej. Chodzi nam przedewszystkiem o wywalczenie prawa powtórnego małżeństwa dla wdów-dziewczynek, które de facto nie były nigdy żonami swych mężów. Małżeństwa takie nie są już u nas obecnie rzadkością.

Naogół biorąc, wdowy są obecnie zupełnie dobrze traktowane, otaczane miłością i szacunkiem przez rodziny swych mężów.

Oczywiście, trafiają się wyjątki, lecz przeważnie wśród ciemnych, niekulturalnych ludzi.

Naogół biorąc, społeczne położenie kobiet-hindusek było i jest o wiele lepsze, niż w wielu innych krajach.

Weźmy, jako przykład, kwestję swobodnego dysponowania pieniędzmi przez kobiety zamężne. W większości krajów Europy mąż ma prawo do wydawania pieniędzy swej żony. U nas — nie. Posag jest podzielony na kilka części, z których jedną, zwaną „skridam“, może hinduska rozporządzać dowolnie.

U mahometan i persów córki dziedziczą nawet część majątku swych ojców. U hindusów jest to niemożliwością, cały majątek, bowiem, jest wspólną własnością rodziny.



GINA LOMBROSO

DUSZA KOBIETY

CZEŚĆ DRUGA

O ŹRÓDLE WZRUSZEŃ POZA NAMI.
O ZALETACH, WADACH I SPRZECZNOŚCIACH, JAKIE STĄD POWSTAJĄ.

III.

CHEĆ PODOBANIA SIĘ, DOZNAWANIA I SPRAWIANIA
PRZYJEMNOŚCI.

Chęć podobania się, sprawienia miłego
wrażenia na widzach i słuchaczach — to je-
den z zasadniczych rysów kobiecych.

Upodobanie w cierpieniu doznaniem, lub zadaniem, zbiega się u kobiety z większą, niż u mężczyzn, chęcią podobania się, ubiegania się o powodzenie. Dążenie do podobania się, wywołania miłego wrażenia dla oczu, uszu, nosa, chęć zwrócenia uwagi twarzą, postacią, ruchami, głosem, inteligencją, indywidualnym charakterem, to, co francuzi nazywają „le plaisir de plaire” — stanowi jeden z najbardziej zasadniczych rysów kobiecości. Niesłusznie łączono go z dążeniem do miłości, od którego jest głębszy i bardziej ogólny, a różny już tem samem, że tu idzie tylko o odbiorczość, podczas gdy miłość jest daniem. Nie ma dalej nic wspólnego z szacunkiem, z uwielbieniem, nieodłącznymi od miłości; rys to przede wszystkim fizyczny, a wtórnie dopiero moralny i umysłowy, gdy tymczasem miłość kobiety jest z istoty swojej moralna i umysłowa, objaw wreszcie w kobiecie nieograniczony, kiedy miłość jest w niej ograniczona, a raczej jedyna.

Kobieta pragnie podobać się wszystkim: nauczycielowi, uczniowi, interesantowi, dostawcy — na których jej może zależy, ale i tym, którzy jej nic nie obchodzą, o których szacunek, a tembardziej o miłość, nie stoi, czy to będzie przechodzień na ulicy, ciekawy widz, który ją dostrzega w oknie, towarzysz podróży, z którym się nigdy więcej nie spotka, rzemieślnik, który poprawia meble, dorosły, dziecko, wyrostek, ludzie, których widzi, czy o których słyszy, autorzy powieści, o których coś czytała, nawet smutni bohaterowie procesów kryminalnych. Wszystko daje możliwość, aby zwrócić na siebie uwagę, tak, że nawet sport, który uprawia, staje się środkiem, tak samo wyścigi, teatr, bal, zebrania towarzyskie wszelkiego rodzaju, byle się pokazać i mieć się komu podobać.

Ta chęć, logiczna i nieodłączna towarzysząca antropocentryzmu, urabia całe życie kobiece. Oznacza początek młodości, samowiedzy dziewczęcia, nie gaśnie przez chorobę, wiek, czy śmierć. Stare babcie w przytułkach jeszcze się muskają i sztafirują; to samo widzimy w szpitalach czy więzieniach, gdzie najwyższem szczęściem jest móc przypiąć jakąś błyskotkę. Nawet

umierające troszczą się, jak będą ubrane po śmierci, samobójczynie szukają środków, które najmniej je zszpecą, a i święta Colomba prosi „siostry”, aby ją okryły kwiatami, bo chce się lepiej podobać oblubieńcowi niebieskiemu, gdy do niego uleci.

Chęć podobania się „natychmiastowego” łączy się następnie z głębszem pragnieniem pociągnięcia zaletami moralnymi i umysłowymi, i tu jest źródło wdzięku kobiecego, dbałości o ubiór, ruchy, o sposoby podniesienia urody. Dlatego raz mówi rzeczy miłe, nieraz bezczelne, które się mogą podobać, dlatego zadaje sobie trud nieskończony, byle tylko widzieć, że inni są zachwyceni.

Główny to bodziec w życiu kobiety. Wiele z nich uprawia sport, byle się podobać, lub zainteresować; inne dlatego uczą się, czytają, starają się być *au courant* wszystkiego; zdarza się nawet, że poświęcają się poważnym studjom, które w gruncie nic ich nie obchodzą. Żalują nieraz, że się nie doktoryzowały, bo toby się podobało, czy zwróciło na nie uwagę. Faktem jest, że manja studjów i doktoratów, tak ogólna przed dziesięciu laty, dzisiaj mocno opada, bo już spowszedniała.

Zalotność, flirt, światowość.

Ten wrodzony popęd ma i pewne złe strony zwłaszcza, gdy pójdzie zadaleko, albo się wykolei.

Chęć podobania się, choćby leciuteńko przeholowana, niedostrzegalnie rozrasta się w światowość. Podkreślanie swego powabu świadomem i obliczonym słowem czy ruchem staje się zalotnością, a umiejscowienie go na jednej określonej osobie, z użyciem sztuki lub nie, ale bez udziału miłości z żadnej strony — to flirt — „le compagnonnage”.

Zalotność, flirt i światowość są powszechnem i podstawowem dążeniem kobiety. Żadna sława, zaszczyty, triumfy artystyczne, literackie, czy naukowe nie dają tego upojenia, co powodzenie, hołdy, odbierane jednocześnie z wielu stron, i świadomość, że można urok swój dowolnie skoncentrować na jednym osobniku, bez jakichkolwiek poważnych zamiarów. Gdyby nie wędzidło, jakim jest naturalna wyłączność miłości, co odosabnia istotę kochającą, gdyby nie wrodzony wstręt do sztuki i wyrachowania, częstszy u kobiet, niż u mężczyzn, i nie wrodzony wstyd, powstrzymujący od przebywania sam na sam z mężczyzną (wszystko zjawiska o wiele częstsze, niż przypuszczamy) — każda kobieta byłaby kokietką i flirciarką.

Jaki zresztą inny użytek zrobiła dzisiejsza kobieta z uzyskanej wolności, niż właśnie danie sobie folgi i rozszerzenie kręgu osób, które pragnie zdobyć, stosując wszystkie sposoby, jakie uważa za właściwe? Czemże innym było owo osławione skrępowanie, które każe oplakiwać kobietę z dawnych czasów, lub z zacofanych krajów, jeżeli nie skrępowaniem tej właśnie swobody?

Jednak światowość, zalotność, flirt, aczkolwiek dostarczają rozkosznych wrażeń, nie są bezwzględnie korzystne dla kobiety, ani tak zupełnie niewinne dla ogółu, jakby się zdawało. Owa bowiem chęć podobania się, „niewinna zabawa“, nie mająca dla niej nic wspólnego z miłością, może mieć zupełnie inne znaczenie dla mężczyzny. Dla niego tylko włos oddziela kobietę, która mu się podoba, od kobiety, którą kocha. Przejście od flirtu do miłości, dla niej trudne, jest nad wyraz łatwe dla niego.

Już sama jej obecność, bez żadnych sztuk czy intencji, może sprawić, że mężczyzna straci głowę. Charakterystyczny jest przykład Garibaldiego, który zobaczył zdaleka przez lornetkę Anitę, przechadzającą się nad morzem, i zakochał się w niej nazabój, tak, że ją porwał z domu. Jeżeli mężczyzna zakochuje się tak łatwo bez żadnej specjalnej zachęty, rzecz prosta, że czyni to jeszcze łatwiej, kiedy kobieta go nęci, choćby najbanalniejszymi, najmniej wyszukanymi środkami. Mężczyzna, chociaż twierdzi się zazwyczaj przeciwnie, na gruncie miłości uprawia grę lojalną (może, ponieważ nie umiałby inaczej), łatwo się ludzi, że jest kochany, nawet kiedy kobieta igra nim, wpada w jej sieci, choćby zupełnie grube, tembardziej, że nadzwyczaj lubi fortele (których kobiety naogół nie znoszą) i w sprawie uczuć wykazuje prostotę zupełnie pierwotną.

Mężczyzna może umierać z miłości dla kobiety, która się nim bawi, może doprowadzić ją do tego, że ulegnie jego miłości. Skądinąd kobieta, która igrała bez żadnych złych zamiarów, może odebrać męża, narzeczonego, konkurenta innej kobiecie, z którą założył, lub miał założyć rodzinę, i sama nawet nie zajmie jej miejsca, bo mężczyzna odróżnia kobietę, którą kocha, od tej, z którą się żeni. Często niesmak, jaki w nim wzbudziły takie flirty na żart, odwraca go nazawsze od małżeństwa, od kobiety i miłości. Flirt, światowość i kokieterja zniechęcają mężczyzn do małżeństwa. W krajach, sferach, klasach, gdzie kobiety są najbardziej zalotne i rozflirtowane, mężczyzna jest najoporniejszy do małżeństwa, a najskłonniejszy do rozwodu, co jest niemałym niebezpieczeństwem dla kobiet wogóle, choćby niezawsze mierzyło właśnie w winowajczynię. Dlatego też może

kobiety tak nienawidzą kokietek, chociaż są niem. same, nienawidzą być świadkami flirtu, chociaż go same zaciekle uprawiają. Jest w nas, okazuje się, jakiś tajemny instynkt samoobrony zbiorowej, który kielkuje w podświadomości, nawet kiedy świadomość mu przeczy. Należy więc zwalczać zalotność, flirt i światowość, jako grzeszne, co trudno jednak przyjdzie bez naruszenia popędu do podobania się; jest on bowiem samym rdzeniem kobiecości, podstawą wdzięku i całego tego świata wrażeń, które upiększają życie i mężczyzny i kobiety.

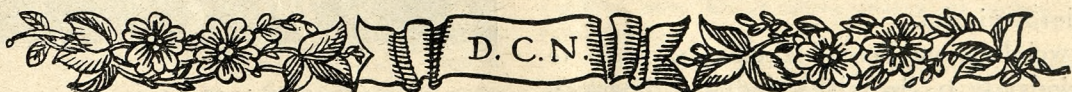
* * *

Na szczęście, przez znane nam już prawo pozornej sprzeczności w duszy kobiecej, ta sama chęć podobania się jest także początkiem odporności i wstydu.

Chociaż wszystkie kobiety lubią się podobać, skutek wrażenia, jakie wywierają na mężczyzn, miesza je, przeraża i każe zaprzestać flirtu, i to tem gwałtowniej, jeżeli wrażenie jest wzajemne, t. j. jeżeli kobieta kocha. Wstyd narodził się z miłości, a miłość jest jedyną odtrutką przeciw przeholowanej żądzy podobania się.

W czasie studjów uniwersyteckich miałam ładną, bardzo zalotną i rozflirtowaną koleżankę, która drażniła nas, poważniej myślące studentki, ponieważ obcowanie z chorymi i z kolegami, jakiego wymagają szpital i laboratorja, możliwe jest tylko pod warunkiem najwyższej powagi i poprawności. Bez końca dawałyśmy jej do zrozumienia, żeby zmieniła postępowanie. Napróżno. Jak wszystkie kokietki, tłumaczyła się, że nic złego nie robi. Na trzecim roku, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, spoważniała i zrobiła się taktowna. Skąd ten cud? Poprostu zakochała się na serjo, a żadna kobieta, na serjo zakochana, nie flirtuje i nie stara się podbijać na prawo i lewo. To musi być przyczyna, dla której różne narody, niezależnie od siebie, rozdzielały obie płcie przynajmniej do dnia ślubu. Przez odosobnienie dziewczyny i wynalezienie jej zawczasu męża, ogranicza się, lubo nie nadwęża, ową chęć podobania się, która dopiero znajdzie upust w małżeństwie.

Dziś niepodobna nam już wrócić do tego systemu, istniejącego jeszcze u niektórych ludów. Z jednej strony byłoby to nie do przeprowadzenia wobec zmniejszonego autorytetu rodziców, z drugiej—dziewczyna, która sama wybiera sobie męża, musi mieć jak najszersze pole do wyboru. Byłabym jednak za pewnem ograniczeniem dla kobiety zamężnej, najpierw, że słabną już w niej podniety do podobania się, a następnie, że ma ona obowiązki wobec męża i dzieci, dla których światowość i flirt mogą być niebezpieczne



25-CIOLECIE GIMNAZJUM A. WALICKIEJ



Antonina Walicka

W dobie przedwojennej każda polska szkoła była jakby redutą polskości, była twierdzą, o którą rozbijały się nieustanne ataki rządów zaborczych. Jak zaś spajała w jedną całość serca swych wychowanków, świadczą te, nieliczne stosunkowo, uroczystości—bo nieliczne były te placówki—których świadkami jesteśmy obecnie.

Również w ostatnią niedzielę ub. miesiąca widzieliśmy te liczne rzesze b.

wychowanek dziś gimnazjum, ongiś pensji p. Antoniny Walickiej, które zatroszczyły się o to, aby obchód dwudziestopięciolecia szkoły wypadł jaknajokazalej.

I udało im się to w zupełności. Już pierwsze przemówienie dr. Kociatkiewiczówny, w im. Komitetu Organizacyjnego, wprowadziło odrazu dziwnie miłą, serdeczną atmosferę domowego święta, jakby naprawdę rodzinnej uroczystości.

I zaczęły się wspomnienia—wspomnienia od najdawniejszych okresów, rozpoczęte przez p. Ostromęczką, nauczycielkę szkoły od pierwszej chwili jej powstania, najbliższą towarzyszkę twórczyni tej placówki, pp. A. Walickiej i E. Sancewiczówny. W barwnym opisie dziejów szkoły odtworzyła p. Ostromęczka wstęp lat pracy i trudów, dole i niedole instytucji, jej troski i radości w okresie niewoli, okupacji i niepodległości wreszcie.

Ze była to szkoła o duchu polskim, choć w obcym z musu prowadzona języku, świadczyło też przemówienie prof. Janowskiego, który dziękował p. Walickiej za to, iż dała mu na tej placówce, wbrew woli zaborców, krzewić umiłowanie kraju i szerzyć tę wielką i gorącą wiedzę, jaką on w studjach swoich i wędrówkach po Polsce zebrał.

Jeszcze bardziej rozszerzyła krąg myśli zebranych profesorowa Lempowa, która w im. Tow. b. Wychowanek J. Sikorskiej składała p. Walickiej życzenia, by ona, jedna z wychowanek tej światłej przewodniczki na niwie pedagogicznej, krzewiła dalej owo wielkie umiłowanie ideałów, któremu życie swe poświęciła ich kierowniczką.

Jak zaś wcielano na ławie szkolnej w życie te ideały—opowiedział p. Świtalska, jedna z dawnych

uczennic i matka obecnych uczennic pensji, p. Kleistówna, która, jako dawna pensjonarka, patrzyła na całodzienne życie pań Walickiej i Sancewiczówny, widziała tę ciągłą walkę z niebezpieczeństwem władz rosyjskich, p. Halina Żółtowska, wreszcie z obecnych uczennic p. Walentyna Landsberżanka. Słusznie też zakończyła swoje przemówienie p. J. Szamotulska nader miłym wierszem o umiłowaniu szkoły i jej ideałów.

W części koncertowej, rozpoczętej chórem uczennic pod batutą prof. Heintzego, usłyszeliśmy piękną grę na skrzypcach p. G. Jabłońskiej, śpiew p. Ireny z Hamanów Bojanowskiej, grę na fortepianie p. M z Olszakowskich Łosiowej i produkcję p. W. z Olszakowskich Rakowieckiej. Mistrzowski akompanjament p. H. Rylke stanowił jeden więcej klejnot w tym popisie byłych i obecnych uczennic gimnazjum.

Osobne miejsce należy się przemówieniom p. Pawła Sosnowskiego, który podkreślił to, co jest najważniejszym w pracy każdego pedagoga, a co w olbrzymim stopniu stanowi cechę p. Walickiej—umiłowanie szkoły wogóle i stąd płynące wielkie i niewyczerpane poświęcenie dla niej—oraz mowie p. Walickiej, która wskazała na jedno z wielkich zagadnień pracy wychowawczej, dziś łatwe do rozwiązania, ale będące wiecznym wyrzutem sumienia w okresie niewoli. Szczerłość i prawda, które muszą cechować każdego prawdziwego wychowawcę, prawda, nie w słowach tylko ale i w postępowaniu—oto szkopał nie do przewyciężenia w tym okresie tajnych lekcji prof. Chrzanowskiego, Smoleńskiego, Jaworskiego.

Tym, którzy słuchali owej spowiedzi p. Walickiej, musiała nasunąć się myśl: Dzięki niech będą Bogu za to, że takich mamy wychowawców młodego pokolenia, którzy w ciągłej walce z sobą umieli zaszczepić w młodych duszach umiłowanie prawdy i pracy. I niechaj w zdrowiu i szczęściu pracują długie, długie lata! T. U



Uczestnicy Obchodu 25-ciolecia gimnazjum A. Walickiej

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

Uroczyste przedstawienie dla uczczenia Dziesięciolecia Niepodległości. „Witaj Jutrzenko Swobody!“ Dekoracje i kostju, my Karola Frycza. Kostjomy tancerek Zofii Strujięskiej, Tańce układu Tacjanny Wysockiej. Część muzyczna pod kierunkiem prof. Bronisława Rutkowskiego.

Premjera uroczystego przedstawienia w Teatrze Polskim odbyła się, jak łatwo się domyślić, dziesiątego listopada. To znaczy, że widzowie przyszedli do sali teatralnej z miasta, udekorowanego, iluminowanego, zablokowanego zatorami z dorożek, tramwaj i samochodów, dających drogę maszerującym wojskom i pochodom z miasta, które samo w sobie było uroczystym widowiskiem, przedstawieniem godowym. Wracając ze Starego Miasta, gdzie dzięki uprzejmości znajomych, przesiedziałam cztery godziny w wygodnym fotelu przy oknie, wyczekując coraz mniej cierpliwie na owo szumnie zapowiedziane „misterjum“. Przyglądałam się świeżo pomalowanej dekoracji Starego Miasta.

Moi współtowarzysze niedoli twierdzili, że odnowione Stare Miasto przypomina dekorację teatralną. Zaprotestowałam energicznie, bo przecież każdą dekorację komponuje jeden człowiek, dzięki czemu najgorsza z nich musi mieć jednak jakiś charakter jednolity, jakąś planową kompozycję całości. A tu—obok dostojnej w swej ciemnej szarości kamienicy Baryczków, z jednej strony jakąś modernistyczna interpretacja rokoka, z drugiej—jajecznicza ze szpinakiem, w kratki. Takeśmy się spierali, dla skrócenia sobie oczekiwania, a tymczasem, na estradzie, prowizorycznie skleconej z pomalowanych z jednej tylko strony desek, ustawiono pluszowe fotela, wyciągnięte z dostojnej kamienicy Baryczków. Jakaś niewiasta w długim palcie starannie wycierała te fotele ścierką. Działo się to wszystko wobec tłumnie zgromadzonej publiczności. Deski estrady świeciły niezheblowaną nagością (widocznie żałowano dywanu na tak niepewną pogodę). Nareszcie na deskach tych stanął pan prezydent Słomiński i wygłosił krótkie przemówienie, z którego niewiele dało się słyszeć, bo głos się rozprasał w powietrzu; zresztą, w tłumie rozmawiano. Z następnych przemówień nie było zato słycać literalnie nic, bo przez cały czas różnęła od ucha doskonała orkiestra. Treść przemówień została osłonięta mrokiem wieczystej tajemnicy i przypuszczać należy, że właśnie na tem polegało owo „misterjum“. Potem, kiedy się już zupełnie ściemniło, reflektory oświetliły rzęsiście nasze okna (na wysokości drugiego piętra). A tam, w dole i w ciemności, sunął pochód historyczny. Byli tam konfederaci barscy, kościuszkowscy kosynjerzy, wojska napoleońskie, powstańcy z 31-go i 63-go roku... Tak przynajmniej twierdziła jedna z pań, poinformowana uprzednio przez kogoś z uczestników. Musieliśmy jej wierzyć na słowo, bo w mroku dostrzegaliśmy cprawda szereg postaci konnych i pieszych, ale o rozróżnieniu kostjumów nie mogło być mowy. Opuszczałam Stare Miasto pod przykrem, denerwującym wrażeniem „bałaganu“. Uspokoiliam się dopiero w skupionym, naprawdę uroczystym nastroju, jaki wytwarza doskonale skonstruowana sala Teatru Polskiego. A kiedy zapanowała ciemność i bezwzględna cisza i wszystkie spojrzenia zbiegły się na postaci Stefana Jaracza, stojącego w jednym jasnym punkcie, na tle ciemnej brokatowej kurtyny... pomyślałam: — jak wielką, jak niezbędną rzeczą jest teatr! Jakże nędznie wygląda życie, gdy się pokusi o udawanie teatru, nie posiadając ani reżysera, ani inspicjenta, ani wykwalifikowanego zespołu maszynistów. Przecież wystarczyłoby, aby ten reflektor, oświetlający tak plastycznie postać i twarz aktora, został skierowany nieco wyżej, a rozległyby się psykania, szmery i cały podniosły nastrój prysnąłby, jak bańka mydlana! W tym podziwie dla doskonałości maszynierji teatralnej, sprawiającej, iż wszystko dzieje się na właściwym miejscu i we właściwym czasie, przetrwałam przez całe przedstawienie. I wdzięczność dla tego ładu, który dopiero teraz właściwie oceniłam, po widzianym uprzednio nieładzie, usposobiła mnie przychylnie dla całego przedstawienia.

Po prologu Jana Lechonia, odczytanym przez Stefana Jaracza (któryż inny aktor mógłby sobie na coś podobnego pozwolić!) mieli młodzi aktorzy, występujący w scenach zbiorowych, wielce utrudnione zadanie. Słowo Jaracza ma tak cudowną bezpośredniość, taką niedającą się naśladować szlachetną prostotę, że wszystko, co brzmi po niem, wydaje się deklamacją, w złem tego słowa znaczeniu, i sztucznym patosem. To też dwie scenki: „Z ziemi włoskiej do polskiej“ i „Oda do Młodości“, świetnie pomyslane pod względem dekoracyjnym,—pod względem aktorskim wypadły słabo. We fragmencie „Nocy Listopadowej“ odnalazł drogę do serc widzów p. Jerzy Leszczyński, jako rycerski Wysocki. Wspólnie wyglądała Pancewiczowa, jako Pallas-Athene.

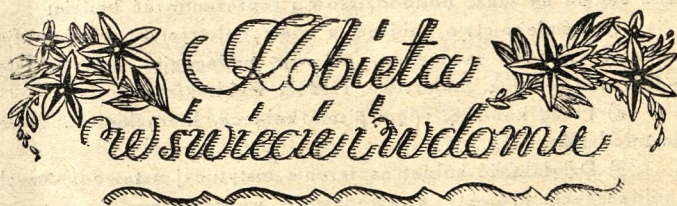
W „Pieśni o wielkim człowieku“ Or-Ota uderzało przede wszystkim doskonałe upozowanie p. Przybyłko-Potockiej, spowitej, jak posąg, w połyskliwą draperję z białego atlasu. Pęk ponsovych kwiatów znaczył barwę narodową. Konwencjonalne słowa wiersza zostały wygłoszone z konwencjonalną poprawnością.

Na tem zakończono część pierwszą widowiska, część, o charakterze poważnym. Część druga tchnęła weselem i świetnym nieraz humorem. Na tle stylizowanych dekoracji, przedstawiających polską wieś i rynek Starego Miasta, odtworzono szereg piosenek żołnierskich i innych.

P. Marjusz Maszyński w stroju chłopskim wypowiedział z właściwą sobie zamaszystością i werwą „Grajka“ Lenartowicza. Ale królową części drugiej była bezsprzecznie pani Marja Modzelewska. Świetna ta artystka dramatyczna zrobiła wszystkim miłą niespodziankę, wykazując doskonałe wyrobienie choreograficzne i duży, umiejętnie postawiony głos. To, plus niesłychana precyzja wykonania, mogłoby z niej zrobić pierwszorzędną gwiazdę każdej operetki. Jako dziewczyna wiejska, nasłuchująca echa umiłowanego głosu w „Kalince“, jako Małgorzatka, tańcząca na staromiejskim rynku z huzarami, wórew przestrogom ojca, matki, wreszcie—jako zalotna piękność staromiejska w „Bandurce“ i rozkosznej śpiewce „Tyciuteńki, tyciuteczki“ — zbierała p. Modzelewska frenetyczne brawa przy otwartej kurtynie.

Składane przedstawienie zakończyły oberek i mazur w wykonaniu zespołu uczennic p. Wysockiej. Okrasę tych tańców stanowiły solowe produkcje trojga rezolutnych bobasów.

Jadwiga Kiewnarska.



UDZIAŁ KOBIET W POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ W POZNANIU

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu, której otwarcie ma nastąpić w maju 1929 r., będzie przeglądem siły i ekspansji twórczej narodu. Wystawa ta winna służyć nam świadectwem przed światem całym, że Polska, mimo wiekowego rozdarcia, mimo niewoli i zaprzepaszczenia oficjalnego imienia jej na terenie życia międzynarodowego, nie przerwała jednak ani na chwilę ciągłości pracy swej i zmużnego wysiłku, a kulturalny i gospodarczy dorobek jej stawia nas w rzędzie państw cywilizowanych, z którymi, ramię przy ramieniu, walczymy i pracujemy wspólnie, dla jednego celu, jakim jest dobrobyt i szczęście ludzkości.

W historii kultury naszej kobieta polska ma swoją trwałą i piękną kartę, której zgłoski pisane są potem jej znoju i krwią męczeńskiego nieraz wysiłku.

Wystawa 1929-go roku, mająca być wyrazem tego, co Polska dotychczas zdziałała, nie powinna i nie może obejść się bez udziału kobiet naszych. Na wystawie tej polka-obywatelka, dzia-

łaczka społeczna, pracownicza zawodowa i polka-artystka, niby pracowite, mądre pszczoły, zniosą do narodowego ula krople za- biegliwie wypracowanego przez się miodu.

Myśl, aby kobieta polska wzięła swój odrębny udział w po- wszecznej wystawie, została podjęta wspólnie przez polskie Stowarzyszenie kobiet z wyższym wykształceniem i Związek pracy obywatelskiej kobiet.

Członkinie tych dwóch stowarzyszeń, w celu urzeczywistnienia swoich zamierzeń, zwróciły się do Pani Prezydentowej Mo- scickiej z prośbą o pomoc i poparcie.

Pani Prezydentowa, znana już chlubnie ze swej ofiarnej gotowości do pracy, gdy idzie o dobro Polski, przyjęła łaskawie protektorat nad całą sprawą.

Dnia 2-go października r. b. odbyło się na Zamku pierwsze zebranie organizacyjne, w którym wzięły udział przedstawicielki licznych zrzeszeń i związków kobiecych, stołecznych i prowincjonalnych. Po przedyskutowaniu wielu projektów i planów, został przyjęty projekt, wypracowany przez polskie Stow. kobiet z wyższym wykształceniem.

Plan jego przedstawia się w ogólnych zarysach, jak na- stępuje:

Na wystawie ma być wzniesiony specjalny pawilon kobiecy, zaprojektowany przez kobietę-architekta, w drodze konkursu zamkniętego. Zdołano już uzyskać na ten cel plac w Parku Wil- sona, liczący 700 m. kw.

Wystawa pracy kobiecej ma obejmować 9 działów, a mianowicie:

Dział pracy umysłowej, zdobnictwa i sztuki czystej, pracy społecznej, zawodowej, dział regionalny, wychowania fizycznego, gospodarstwa domowego, walki o równouprawnienie kobiet, wre- szcie udział kobiet w walkach o niepodległość. Przewodnią myślą pań, organizujących ową wystawę, jest stwierdzenie, że kobieta stanowi poważny czynnik twórczy w wielu dziedzinach życia na- szego kraju. Myśl ową inicjatorki projektu będą się starały wy- razić możliwie jasno i przejrzysto, zapomocą najbardziej cha- rakterystycznych eksponatów oraz tablic statystycznych i wykre- sów. Te ostatnie zostaną wykonane wyłącznie pod kierunkiem polsk. Stow. kobiet z wyższym wykształceniem, a to w celu ujednostaj- nienia sposobu ich wypracowania.

Dział umysłowy będzie obejmował wszystko to, co stworzył intelekt kobiety polskiej w najróżniejszych dziedzinach życia; roz- pada się on na sześć pododdziałów i reprezentować będzie:

1) Piśmiennictwo kobiece, a więc: beletrystykę, bibliografię, naukę (przyroda, medycyna, prawo), pedagogię, muzykologię, podręczniki szkolne, malarstwo, rzeźbę, architekturę, krytykę.

2) Prasę kobiecą, więc: pisma kobiece, literackie, naukowe, dla młodzieży.

3) Działalność kobiet na terenie instytucyj ustawodawczych i politycznych, projekty ustawodawcze, wypracowane przez nasze posłanki i senatorki.

4) Pracę kobiet w zawodach inteligenckich i stowarzyszenia zawodowe.

5) Kobiety w uczelniach wyższych, statystyka studentek na różnych wydziałach, odsetek dziewcząt, kończących studia.

6) Działalność Stow. kobiet polskich z wyższym wykształ- ceniem.

Pośród dziewięciu powyżej wymienionych działów ogólnych, dział zdobnictwa i sztuki zgromadzi najbardziej typowe eksponaty, jak: kilimy, płótna, hafty, koronki, oraz najlepsze dzieła kobiece w zakresie malarstwa, rzeźby, modelarstwa i t. p., z uwzględnieniem wszystkich kierunków sztuki.

Dział pracy społecznej kobiet opierać się będzie głównie na wykresach i tablicach statystycznych kobiecych stowarzyszeń

zawodowych oraz instytucyj, opiekujących się matką, dzieckiem i młodzieżą (żłobki, ochrony, domy matek, kluby dziewczęce); przytem, gdy chodzi o instytucje, opiekujące się matką i dzieckiem, ma być zaznaczone żądanie, aby praca w nich i stanowiska, od podrzędnych do naczelnych, były pozostawione jedynie kobietom.

W części, poświęconej pracy zawodowej kobiet, przedsta- wiona będzie statystyka płac (maximum i minimum), z podkreśle- niem tezy: równa praca — równa płaca, — bilans liczebności kobiet w każdym zawodzie i t. p.

Dział gospodarstwa domowego ma wykazać znaczenie praw-idłowej gospodarki prywatnej w ogólnej ekonomji kraju i na- uczyć kobiety, jaką drogą należy zdążać do racjonalizacji gospo- darstwa domowego.

Wychowanie fizyczne obejmować ma odpowiednie dla ko- biet sporty i gimnastykę, ze zróżnicowaniem rodzaju ich w za- leżności od zawodu, w którym każda kobieta pracuje, obozy har- cerskie dla dziewcząt, ogródki Jordanowskie i t. p.

Dział regionalny uwzględnić ma poszczególną działalność kobiet w różnych województwach; będzie to zarazem dział raczej etnograficzny, w którym, o ile to się okaże możliwe, eksponaty mają być sprzedawane na miejscu.

Kończąc przegląd powyższego planu, należy przyznać, że przeprowadzenie jego będzie wymagało olbrzymiego nakładu pracy i pieniędzy. Inicjatorki imprezy tej zamierzają sfinansować ją:

1) zapomocą subsydjów, które podobno zostały już im przyznane przez czynniki miarodajne,

2) zapomocą sprzedaży wybitnych specjalnie na ten cel że- tonów, w cenie 1 zł. i 5 zł. Panie obowiązują się nosić stale że- tony te, przypięte do sukni. Gorliwa i pomysłowa propaganda dążyć będzie do możliwie najszerzego rozpowszechnienia ich wśród kobiet polskich.

Co się tyczy pracy, niezbędnej do przeprowadzenia tego, tak pięknie i wszechstronnie obmyślnego, zamierzenia, to, oczy- wiście, musi być ona ogromna, szczególnie ze względu na sto- sunkowo krótki czas, dzielący nas od dnia otwarcia wystawy. W pracy tej winny wziąć udział liczne rzesze naszych inteligent- nych i wykształconych kobiet

Organizacje wojewódzkie, które już się ukonstytuowały, po- zostają w stałym kontakcie z głównym komitetem kobiecym, rezy- dującym na Zamku w Warszawie.

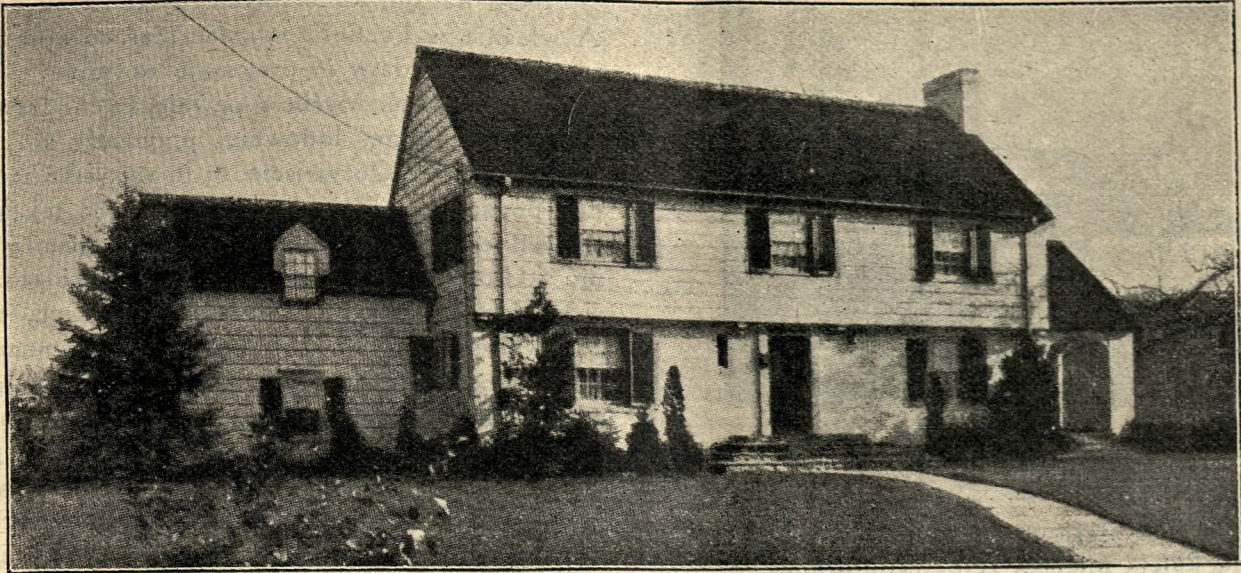
Wierzę, że wszystkim polkom zależy gorąco na tem, aby udział ich w Powszechnej Wystawie Krajowej wypadł jaknajoka- zalej i zaświadczył chlubnie o żywej i twórczej roli, jaką kobieta polska zajmuje w rozwoju kulturalnym naszej Ojczyzny. Skoro tak, niechże zgłaszają się do pomocy: mieszkające na prowincji — do komisyj wojewódzkich, warszawianki — do komitetu głównego na Zamku.

Nie zwlekajcie, czas nagli! *Róża Czekańska-Heymanowa.*

„TĘCZA“ NA DZIESIĘCIOLECIE POLSKI

Doskonałym doбором artykułów i wysoką ich wartością li- teracką odznacza się 45-ty numer tygodnika poznańskiego „Tęcza“, wydany z racji dziesięciolecia niepodległości Polski. Literatura, sztuka, sprawy społeczne i gospodarcze omawiane są przez wybit- nych publicystów. Bogaty dział beletrystyczny i doskonale ilustra- cje dopełniają całości interesującego wydawnictwa.





Dom jednorodzinny

ANTRAKTY

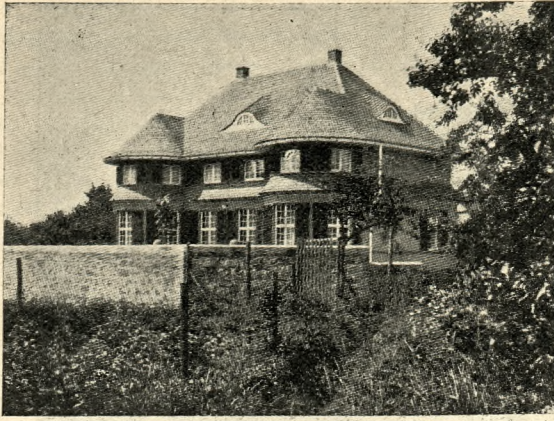
(Po drugiej stronie ekranu — Nowy Berlin — Ulica i mieszkanie — „Pomocnica pani domu“)

W antrakcie między jednym sezonem filmowym, a drugim, niechaj mi wolno będzie zająć się zamiast „życiem ekranu“, poprostu — życiem. Nie można przecież cały rok żyć tylko złudą. To też pewnego pięknego wieczoru opuściłam zaciszne miejsce przed czarodziejskim oknem, z którego mogłam oglądać wprawdzie całą kulę ziemską, ale — zawsze tylko jakgdyby przez grubą szybę, przez którą nie przedostaje się ani szeroeki powiew wiatru, ani szum morza, ani właściwa barwa kwiatu. Płuca zapragnęły powietrza, oczy — zieleni, uszy — zgiełku nowoczesnych miast. W ten sposób znalazłam się „po tamtej stronie“ ekranu. Niknące cienie stały się żywymi ludźmi, złuda — rzeczywistością. A choć cały świat, tak łatwo widzialny na ekranie, musiał się dla mnie skurczyć, niestety, tylko do 3-ch europejskich krajów, a okres wielu wieków — do marnych kilku tygodni — jednakże była to rzeczywistość żywa, uchwytna, namacalna.

Droga moja prowadziła przez Berlin. Nie mam, naturalnie, zamiaru rozpisywać się dłużej o tem mieście, które prawie każdy zna i — prawie nikt nie lubi. Ale prócz tego znanego Berlina, miasta, pozbawionego zażytków, historii, tradycji i wdzięku — jest jeszcze nowy Berlin, bezsprzecznie zasługujący na uwagę. Nie mówię „nowy“ w znaczeniu politycznym, gdyż republikańskość Berlina z trudem daje się zauważyć nawet w rocznicę konstytucji Weimarskiej, obecnie — święta narodowego, lecz — w znaczeniu urbanistycznym. Nie mogąc rościć pretensyj do fachowej oceny wysiłków architektów i urbanistów niemieckich w tworzeniu nowych form, stwierdzić jednak muszę, że celowość, a co za tem idzie — pewne swoiste piękno w rozbudowie nowych dzielnic Berlina, nie mogą nie zwrócić

na siebie uwagi nawet zupełnych w tej dziedzinie laików.

Będąc gościem ludzi, zamieszkujących właśnie jedną z tych dzielnic, mogłam choć przez kilkanaście dni zaznać rozkoszy zamieszkiwania idealnego miastogrodu, do jakiego nawet nasze najlepsze „kolonie“ (Staszica i Lubeckiego) nie są, niestety, ani trochę podobne. Coprawda, dużą rolę odgrywają tu warunki naturalne. Berlin otoczony jest sosnowymi lasami, wśród których wycina się ulice i aleje, nadając odrazu domkom malownicze tło i zielen, a mieszkańcom — zdrowe, balsamiczne powietrze. Ale nie chodzi mi tak o same „domki w lesie“, jak o to, że ten las jest umiejętnie wyzyskany już przy rozplanowaniu całej dzielnicy. Weźmy, naprz., piękną ulicę, raczej — aleję w zachodniej części miasta (Westend), ciągnącą się na kilkanaście kilometrów: szerokie chodniki, dwie wspaniałe jezdnie — asfaltowa i kostkowa — oddzielone trawnikiem, po którym biegają szyny tramwajowe. Aleja ta zabudowana jest tylko prywatnymi willami, z których każda ma, oczywiście, swój ogródek. Mimo to, w pewnym miejscu szereg domków przerywa się i po obu stronach ulicy, na przestrzeni pół kilometra, ciągnie się las-park, pięknie utrzymany, z alejkami, ławkami, malowniczymi zakątkami. Ten rezerwar świeżego powietrza przygotowany jest „na wyrost“ miasta, gdyż narazie — pomimo to, że we wszystkie strony biegają przecznice, gotowe pod budowę (asfalt, oświetlenie, kanalizacja) — zaludnione są jeszcze słabo, tak że z parku tego prawie nikt nie korzysta. Tam właśnie chodziłam codziennie rano, czując się zupełnie jak na willegjaturze (bez kapelusza, w najprostszej sukni) i bawiąc się myślą, że wystarczy pół godziny, ażeby z tego wiejskiego zakątka dostać się w naj-



Dom na dwie rodziny

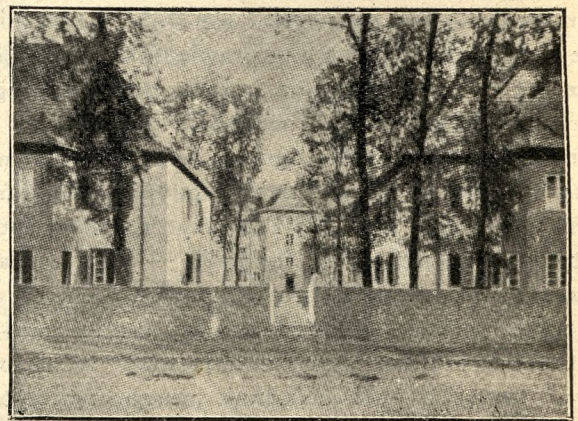
większy wir city (komunikacja tramwajem, koleją podziemną, koleją miejską zelektryfikowaną).

W tej samej dzielnicy buduje się nietylko jednoczy dwurodzinne domki, lecz także całe kompleksy domów kilkopiętrowych, wielomieszkaniowych, co jednakże nie wpływa na pozbawienie ich mieszkańców tych przywilejów, jakie daje miasto-ogród. Przedewszystkiem domy te nie mają więcej ponad trzy piętra; podwórza nie istnieją, gdyż nie wolno budować oficyn; ulice są szerokie i gęsto zadrzewione, ale nie tak, jak to się działo dotąd, że drzewa, rosnące tuż przy domach, zabierały niższym piętrům światło. Drzewa sadzone są w alei, dzielącej jezdnię na dwie części (co znów ułatwia ruch kołowy). Ogromnie rozpowszechnione są do tego celu amerykańskie dęby, przypominające formą cyprysy i dające niezmiernie dekoracyjne efekty.

Takie kompleksy domów stanowią najczęściej czworobok, który z jednej strony przynajmniej przylega do placu-skweru, będącego wspólnym ogrodem mieszkańców danego odcinka. W ogrodzie takim uwzględnione są potrzeby zarówno starszych, jak dzieci. Jest aleja cienista i słoneczna, trawniki i gazony, wreszcie — część, zarezerwowana dla małych dzieci, gdzie mogą bawić się w górach piachu. Wszystkie większe domy malowane są kolorowo, utrzymane w barwach żywych (żółta, morelowa, zielona), co stwarza nastrój wesołości i beztróski, tak różny od monotonej szarzyzny prawdziwego miasta.

Swoboda i zdrowe warunki, jakie daje zamieszkiwanie tej dzielnicy, nie wyklucza możliwości korzystania z wszelkich wygód miejskich, nawet bez udawania się do centrum. Każdy czworobok ma swoje sklepy (nie sklepiki, jak to bywa u nas na krańcach miasta), pod względem jakości towaru i wystaw nie różniące się od śródmiejskich. Oczywiście, nie są to magazyny z przedmiotami zbytku, lecz źródła zaspokajania codziennych potrzeb, a więc: piekarnie, wędliniarnie, owocarnie, sklepy kolonjalne, norymberszczyzna, składy apteczne, składy papieru, naczynia kuchenne i t. p.

Od naczyń kuchennych—tylko krok do kuchni. A właśnie w kuchni znalazłam coś, co wprawilo mnie w rzetelny podziw i—przyznaję otwarcie—wzbudziło gorącą zazdrość. Myślicie pewnie, że chodzi mi o urządzenia kuchenne, lodownię, przyrządy do zmywania naczyń i t. d.? Oczywiście, są to wszystko rzeczy bardzo pożądane, ale jakże błędną wobec tej, która tem wszystkim rządzi, wobec t. zw. „pomocnicy pani domu“! Uroczysta ta nazwa oznacza tylko służącą „do wszystkiego“, tem różniącą się od naszych, że słowo „do wszystkiego“ można brać w dosłownem znaczeniu. „Pomocnica pani domu“ jest właściwie gospodynią i wykonawczynią w jednej osobie. Do niej należy codzienne układanie menu i, oczywiście—jego wykonanie; jej rzeczą jest dbać o wyzyskanie wszelkich sprzyjających konjunktur przy nabywaniu produktów i czuwanie nad utrzymaniem się w granicach określonego budżetu; ona troszczy się o zmianę bielizny stołowej i pościelowej; ona, co pewien czas, przedstawia pani domu spis przedmiotów, które należy dokompletować, i sama je zakupuje; ona wykwinie nakrywa i podaje do stołu; wreszcie, ona sprząta mieszkanie i załatwia telefony. (Mieszkanie, np., moich gospodarzy składa się z olbrzymiego hall'u, sześciu pokoi, dwóch łazienek, nie licząc różnych ubikacyj pomocniczych). W największe zdumienie wprowadzało mnie to, że osoba ta nigdy się nie śpieszy, zjawia się na każde zawołanie i zawsze wygląda, jak gdyby nie miała nic do roboty. Nie trzeba dodawać, że w domu panuje idealny ład i że wszystko wygląda, jak gdyby się „samo robiło“. Myślałam, że taka służąca jest jakimś wyjątkiem; ale okazało się, że taki sam skarb posiadają wszyscy sąsiedzi moich gospodarzy, gdyż taką właśnie musi być każda „pomocnica pani domu“ w odróżnieniu od zwykłej służącej, która, oczywiście, posiada mniejsze kwalifikacje, obowiązki i—prawa. Poznawszy wszystkie obowiązki „pomocnicy“, z pewnym strachem zapytałam o jej przywileje. Niewiele różnią się od tego, co przysługuje u nas każdej niewykwalifikowanej dziewczyninie, z dużemi pretensjami. A więc taka „zawodowa“ służąca otrzymuje 150 zł. miesięcznie (75 mk.), ma „wychod-



Kooperatywa na krańcach miasta

nię“ co drugą niedzielę i raz na tydzień w dzień powszedni; musi mieć własny, porządnie umeblowany pokój i najczęściej — swoją łazienkę, szczególnie, który dla większości naszej służby byłby zupełnie obojętny. Ale to, naturalnie, związane jest ściśle z kwestją mieszkaniową. W nowym domu berlińskim oglądałam mieszkania dozorców, składające się z trzech pokoi z kuchnią i łazienką — mieszkania, o których u nas marzy wiele inteligenckich rodzin. To też u nas, gdzie dach nad głową jest wygraną na loterji, a łazienka — luksusem, z którego ma możność korzystać tylko niewielki procent mieszkańców — „pomocnica pani domu“ to także jedno z marzeń, które się może kiedyś zrealizują.

St. Heymanowa.

ZMIANA W STOSUNKACH TOWARZYSKICH POWOJENNEJ DOBY

Wielka wojna stała się słupem granicznym, dzielącym od siebie dwie różne epoki, dwa różne światy niejako. Wytrąciła ona z równowagi nie tylko kraje, bezpośrednio biorące w niej czynny udział, ale echem odbiła się na całej powierzchni ziemi i z posad ją jakby ruszyła. Kataklizm ten wstrząsnął tem nawet, co dotąd za wiecznotrwałe, nienaruszalne uważać przywykliśmy: skruszył odwieczne zasady moralne, obalił w gruzy przesady kastowe, wdarł się w głąb organizmu społecznego i chyba niemasz dziedziny życia, którejby nie dotknął, na którejby śladów tego dotknięcia nie pozostało. Przy każdej sposobności zdarza się nam słyszeć, jako odróżnienie czasu i rzeczy, słowa: „przed wojną“ i „po wojnie“.

Czasy to różne od siebie tak bardzo, że i ludzie w nich do siebie niepodobni, i stosunki pomiędzy nimi inne, i obyczaje odmienne, choć przecież zaledwie lat kilkanaście dzieli od siebie te dwie epoki. Ta przepaść między nowymi i dawnymi laty powstała stąd, że wojna ostatnia wciągnęła w orbitę swych działań wszystkie warstwy społeczne. Ogólna powinność wojskowa sprawiła, że szeregi walczących składały się, nie jak w wojnach dawniejszych, z ochotników i werbowanych żołnierzy, ale ze wszystkich obywateli, zdolnych do noszenia broni, lub pełnienia służby poza frontem. To zmobilizowanie wszystkich dojrzałych mężczyzn pociągnęło za sobą, jako skutek, konieczność zastąpienia ich przez siły kobiece na zajmowanych dotąd, a teraz porzuconych, placówkach. Ofiarą tych zmian stała się w pierwszej linii rodzina.

Nieobecność ojca i praca matki poza domem — rozbiła gniazdo. Młode pokolenie rosło w niem, pozbawione wpływu i opieki rodzicielskiej, rosło bez

właściwego kierunku, nie „wychowywane“, lecz „hodowane“ zaledwie, nieraz nawet hodowane nie tak, jak trzeba, bo zarobek matki i na zaspokojenie czysto zwierzęcych potrzeb rodziny nie zawsze wystarczał.

Taki stan rzeczy, rozciągnięty na lat kilka, musiał sprawić, że pokolenie, wyrosłe w dobie działań wojennych, cechuje pewne zaniedbanie pod względem wymagań, stawianych ludziom dobrze wychowanym. Wykwintność w zachowaniu się, uprzejmość w stosunku do ludzi, spotykanych czy to przy pracy, czy na zebraniach towarzyskich, pewna dbałość o estetykę w ruchach, czy wyrażeniach — zanikła dziś, odtrącona wzgardliwym wzruszeniem ramion i ironicznym uśmiechem lekceważenia tych, co w niej zasmakować nie mieli sposobności. Rubaszność jest cechą czasów powojennych. Daje się ona odczuć i razi niemile ludzi starszych, pamiętających czasy przedstawień teatralnych o wyższym poziomie artystycznym, wspominających zebrania towarzyskie, skromniejsze może od niektórych dzisiejszych pod względem doboru potraw i obfitości trunków, ale wytworniejsze ze względu na tematy, poruszane na nich w rozmowie, na gatunek dowcipu, jakim tę rozmowę kraszono, na szacunek, jakim otaczano ludzi starszych, a przede wszystkim — kobiety.

Kobiety nadawały ton tym zebraniom; one dbały nie tylko o ich stronę zewnętrzną, ale i o duch, jaki je ożywiał.

Dziś ludzie w domach prywatnych zbierają się znacznie rzadziej. Brak mieszkań odpowiednich i mniejsza ilość służby, nawet w domach stosunkowo zamężnych, utrudnia przyjmowanie gości, a przytem ludzie dzisiejsi szukają innej, niż dawniej, rozrywki, bo i warunki ich życia różne są od przedwojennych.

Dawniej przedmiotem rozmowy towarzyskiej u nas była najczęściej literatura i sztuka. Literatura dostarczała tematu do roztrząsań, bo w niej poruszane były najaktualniejsze sprawy społeczne, w niej przemycano poprostu te zagadnienia, które inną drogą nie mogły przedostać się do społeczeństwa pod czujnym okiem zabójczej cenzury.

Od czasu odzyskanej niepodległości literatura straciła to znaczenie w naszym życiu społecznym i narodowym. Z pism dowiadujemy się dziś pokrótce o tem, co dawniej z książki czerpać musieliśmy, a że mniej mamy czasu na czytanie, bo więcej pracować musimy, więc literatura nie gra już obecnie w naszym życiu tej doniosłej roli, co dawniej: przestała ona być krynicyą, z której czerpano otuchę na dzień dzisiejszy i nadzieję lepszej przyszłości.

Życie dzisiejsze szybszem biegnie tempem. Nie ma dziś prawie ludzi, którzyby mogli parę godzin dziennie poświęcić na czytanie, o ile to nie jest związane wprost z ich pracą zawodową. Po kilku godzinach, spędzonych nad mozolną pracą, pozbawieni przy niej najczęściej ruchu i powietrza, żądni są lu-

dzie dzisiejsi bardziej ruchliwej, swobodniejszej zabawy. Nic więc dziwnego, że w sporcie szukają zadowolenia tej potrzeby, że tańczą może aż do zbytku i grają w karty, aby nie wysilać się na rozmowę. Rozrywki to łatwiejsze, świadczące może o pewnym lenistwie duchowym ludzi, o obniżeniu stosunków towarzyskich powojennego społeczeństwa, ale i ten objaw życia nie pozbawiony jest stron dodatnich.

Rozwój sportu i przeniesienie zabawy z salonu prywatnego na grunt neutralny klubów, hoteli i publicznych sal balowych—wytworzyły w stosunkach towarzyskich mniej wytworności co prawda, ale zato wprowadziły więcej naturalności i prostoty.

Dziś już „wypada“, czy „nie wypada“ nie krępuje kobiety na każdym kroku; ma ona możność szerszego, bardziej koleżeńskiego obcowania z mężczyzną przy pracy czy przy zabawie. Uproszczone formy bycia wpłynęły na to, że wyzbyliśmy się fałszywego wstydu na wielu polach, że mniej udajemy, niż dawniej, że bardziej jesteśmy sobą, że więcej szanujemy własną indywidualność, a temsamem, więcej liczymy się z indywidualnością cudzą.

Wszystko to są wartości, które zdobyliśmy w dobie przewrotu, jaki sprowadziła wojna, o wiele szybciej, niżby się to stać mogło w czasach spokojnych.

Każda gwałtowna zmiana wywołuje narazie pewne wpadanie w przesadę w danym kierunku. Przesady tej nie brak i w uproszczeniu stosunków towarzyskich dzisiejszych; nic więc dziwnego, że poddawane są one często ostrej krytyce. Czas usunie niewątpliwie rażące nas dzisiaj jaskrawości i braki i już w następnym dziesięcioleciu naszej niepodległości, da Bóg, ujrzymy na świeżo przeoranej roli naszego życia bujniej rozkwitłe i wytworniejsze kwiaty towarzyskiej kultury.

L. Gerlachowa.

PRZECHOWYWANIE OWOCÓW

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że owoce stanowią bardzo zdrowe pożywienie, zawierające pożyteczne dla organizmu składniki i obfite witaminy. A jednak spożycie owoców w Polsce jest znikome: owoce są tak drogie, że tylko sfery, lepiej uposażone, mogą je nabywać, a w pewnych okresach brak owoców krajowych zupełnie.

Drzew owocowych mamy w Polsce zamało. Według Jankowskiego, wypada jedno drzewo na mieszkańca, według innych źródeł stosunek ten przedstawia się jeszcze gorzej, podczas, gdy pobratymcy-Czesi mają po 4 drzewa na głowę, a mimo to, nie uskarżają się na nadmiar owoców. Słusznie więc ujawnił się w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku wzmożony pęd do zakładania sadów handlowych, zahamo-

wany jednak przez wybuch wojny. Bitwy, fortyfikowanie terenów, odsłanianie przedpoli, wiązanie i pasienie koni lub bydła w sadach, oraz barbarzyńskie niszczenie za sobą wszystkiego przez cofającą się armję rosyjską—zmniejszyło znacznie ilość drzew owocowych. Ale teraz wzrasta ona z roku na rok coraz intensywniej. Szkółki nie mogą nastarczyć zamówieniom na szczepy, a racjonalnie zakładane sady powstają nietylko na terenach większej własności, lecz i u małorolnych. Pocieszającym objawem jest też wzrost uświadomienia wśród nabywców szczepów, dzięki czemu tylko istotnie dobre drzewka, w odmianach handlowych, mają popyt, zaś przestarzałe koślawce z przygodnych hodowli nie znajdują amatorów.

Ale daleko nam jeszcze do takiego stanu rozwoju plantacyj owocowych, żeby pokryć zapotrzebowanie rynku własnego, a tembardziej, żeby myśleć o eksporcie. Tymczasem sadownictwo ma pomyslnie widoki rozwoju tylko w krajach mało uprzemysłowionych, więc należy korzystać z tego okresu i zakładać w Polsce jaknajwięcej sadów, wobec przyjaznych konjunktur zbytu w innych krajach europejskich. Były już robione, z pomyslnym wynikiem, próby eksportowania naszych owoców do Francji i do Szwecji, ale miały one charakter eksperymentów odosobnionych.

Skoro jednak zasób owoców krajowych mamy tak mały, a ciągle ujemny bilans handlowy zaleca korzystanie z przywożonych pomarańcz i winogron tylko dla chorych, to nasuwa się prosty wniosek: oto — nie marnować bezmyślnie tych szczupłych zasobów, które mamy, lecz gospodarować niemi możliwie oszczędnie i umiejętnie, żeby na dłużej ich starczyło.

Czy zatem mamy jadać jeszcze mniej owoców, niż dotychczas?

Broń Boże! Zjadajmy wszystko, co się da zjeść, ale dołożmy też starań, żeby jaknajwięcej było do jedzenia. Bowiem dziś właściciel sadu zbiera nie tyle owoców, ile drzewo urodzi, albo właściwie, ile drzewo mogłoby urodzić, a tylko tyle, ile mu choroby i szkodniki zostawia. Bezlitosny czarny grzybek (*Fusicladium*) opanowuje wszystkie jabłonie i grusze. Owoce pokrywają się czarnymi plamami, zniekształcają się, karłowacieją; znaczny odsetek ich przedwczesnie opada, reszta zaś traci wartość handlową i psuje się w przechowaniu.

Tymczasem łatwo złemu zaradzić: wystarczyłoby zrosić drzewa w bezlistnym okresie roztworem specjalnego karbolineum, rozpuszczalnego w wodzie (marki „Żubr.“) a od wiosny kilkakrotnie roztworem Arbosanu, żeby opanować występowanie grzybka. Ale ilu to jeszcze właścicieli sadów macha ręką i powiada:—Arbosan kosztuje, pieniądze trzeba wydać, a czy mi potem Mosiek zapłaci więcej za dzierżawę?!—

Tymczasem dziś już i Mosiek zmańdzał i za owoc dorodny chętnie więcej daje. Dziś już i Mosiek patrzy, czy w jesieni pan dziedzic założył na pnie opaski z lepu, żeby na wiosnę gasienice przed-

zimka nie zjadały ukazujących się listków. Jaki zaś odsetek pni drzew jest otoczony lepkiemi opaskami? Oj, bardzo znikomy!

Więc skoro mała jest ilość drzew rodzących, to tem usilniej trzeba toczyć walkę z chorobami i szkodnikami roślin, zasięgając w tej mierze porady w podręcznikach lub u wykształconych ogrodników.

Ale równocześnie trzeba się nauczyć tak postępować z posiadaniem owocami, żeby możliwie mały procent ich się marnował. Do tego celu prowadzi staranny zbiór i umiejętne przechowywanie plonów, oraz przerabianie owoców mniej wartościowych, o czem jednak narazie mówić nie będziemy.

Staranny zbiór polega na tem, żeby owoce zdejmować z drzew we właściwym czasie, nie otrząsać ich, lecz zrywać rękami, albo odpowiednimi przyrządami, nie rzucać do worków, ani do półkorcowych koszy, lecz wkładać ostrożnie do wysycelanych koszyczków i przenosić w małych ilościach naraz. Wskazówki te są jednak nie na czasie, bo nawet zimowe odmiany jabłek i gruszek już zostały zebrane. Pozostaje więc tylko sprawa racjonalnego przechowania.

Z naciskiem trzeba zaznaczyć, że do dłuższego przechowywania nadają się tylko owoce rwane, o nieuszkodzonym naskórku, wolne od plam i od śladów urazów mechanicznych. Wszystkie inne rychło zaczną gnić i zarażać zgnilizną owoce zdrowe.

Pozatem trwałość owoców zależy od umiejętnego usunięcia wszelkich wpływów, wywołujących ich psucie się. Wszystkie czynniki zewnętrzne, które pod gołym niebem przyczyniają się do dojrzwania owoców, oddziałują w taki sam sposób w przechowalni. Ponieważ zaś ciepło, wilgoć, powietrze i światło przyspieszają dojrzwianie, więc trzeba wpływ tych czynników możliwie opanować, żeby dojrzwianie opóźnić.

Najczęściej owoce bywają przechowywane w piwnicach. Pomieszczenia poniżej poziomu gruntu łatwiej zachowują równomierną ciepłotę, niż wyniesione nad powierzchnię ziemi. Budynki specjalne muszą być odpowiednio izolowane, a izby w domach mieszkalnych zaleca się wybierać od strony północnej.

Specjalne pomieszczenia na składy owoców można urządzać tak, jak lodownie. Więc ściany i pułapy budować ze złych przewodników ciepła, jak: drzewo, miał torfowy, mech, igliwie, trzcina lub słoma. O ile warunki pozwalają, można całą przechowalnię okryć kopcem ziemi. Wejście powinno się znajdować od strony północnej i być zamknięte podwójnymi drzwiami.

(Doł. n.)

Stan. Schönfeld.

ŚPIŻARNIA W MIEŚCIE

Większość gospodarstw miejskich żyje codziennie z tak zwanego „koszyczka“, czyli robi potrzebne zakupy codziennie, zimą najwyżej co dwa lub trzy dni tylko.

Są gospodynie, które twierdzą, że większe zapasy pociągają za sobą większe zużycie produktów, a co za tem idzie,—większe wydatki. Codziennie się kupuje po ćwierć kilo mąki i dziesięć deka kaszy, piętnaście deka słoniny lub masła, płaci za wszystkie tłuste papiery i kartonowe torby, no i za wszystkie niedoważone gramy i deka,—rzecz nieunikniona przy skłonnościach konwersacyjnych naszych wyręczytelek. A kiedy niespodzianie coś się w obiedzie lub kolacji zepsuje, trafi się ktoś z rodziny, którego niesposób nie nakarmić, lub wprost w ostatniej chwili się okaże, że wszyscy są właśnie tego dnia bardzo głodni, a obiad nieco za lekki—służąca porzuca garnki na blasze na pastwę wykipienia lub przypalenia się i leci po szynkę, parówki, serdelki, po ciastka z cukierni a nawet po zimne mięsiwo, sałatkę, rybę w galarecie i t. p. — do sklepu gastronomicznego lub restauracji. I ta jedna sałatka majonezowa, ta zimna ryba lub mięso pochłaniają odrazu oszczędności, wynikłe z powodu nieużywania rzeczy zbyt cnych wciągu paru tygodni conajmniej.

Jeszcze częściej się zdarza, że ktoś z bliskich przyjaciół lub krewnych przyjdzie niespodzianie wieczorem, widząc oświetlone okna; — kolacja z „koszyczka“ jest, oczywiście, ściśle obliczona dla domowników tylko; — nawet jeśli gość przezornie przyjdzie po kolacji, lub, widząc zakłopotanie gospodni, popełni pobożne kłamstwo i upewni, że już zjadł kolację, — należy mu dać herbaty, bodaj z ciastem i konfiturami. Wędliniarnie zamknięte od siódmej, więc kupuje się wędliny, czy zimne mięsiwa w kawiarni lub restauracji, które, nie mając prawa sprzedaży poza lokalem, za to bezprawie pobierają za wszystko dwa razy drożej. I znów — ciastka, babka lub herbatniki z cukierni, — i znów nieprzewidziany wydatek, robiący lukę w tem, podobno oszczędnie-prowadzonym, gospodarstwie.

Jeszcze gorzej jest, przy braku zapasów spiżarnianych, jeżeli zajdzie potrzeba urządzenia jakiegoś większego przyjęcia. Rozmaite drobne dodatki do zimnych dań, różne pikle, szalotki, grzybki, konfitury do ubierania ciast i legumin, kompoty do pieczyste-go i t. p. — urastają w olbrzymie cyfry, nieraz przewyższające kilkakrotnie cenę artykułów podstawowych: ryby, drobiu lub zwierzyny. A jak często musimy się cofnąć przed zrobieniem jakiejś smacznej potrawy,—bo brak w domu kieliszka wina, rumu lub likieru, a całej butelki na ten jeden raz kupować się nie oplacił? Otóż wszystkich tych przykrych niespodzianek uniknąć można, mając chociaż najskromniej zaopa-

 <p>PROSZEK „KOGUTEK” DLA DOROSŁYCH USUWA NAJUPORCZYWSZY BÓL GŁOWY</p>	<p>CHCĄC NABYĆ PROSZKÓ NASZEGO WYROBU, NALEŻY PRZY KUPNIE AKCENTOWAĆ I WYRAŹNIE ŻAĐAC ORYGINALNYCH PROSZKÓW z „KOGUTKIEM” GĄSECKIEGO. ZNANYCH OD LAT TRZYDZIESTU. ZWRACAJCIE UWAGĘ I ODRZUCAJCIE, UPORCZYWIE POLECANE. NAŚLADOWNICTWA W PODOBNEM DO NASZEGO OPAKOWANIU.</p>
---	---

trzoną szpizarnię. W niedużych gospodarstwach niepotrzebny jest na to nawet pokój oddzielny: duża szafa, zaopatrzona w rozmaitej wysokości głębokie półki, i jakiś kosz czy skrzynia szczelnie zamykana, ustawiona w jakimś niezbyt ciepłym latem, a nieprzemarzającym zimą pasażu lub korytarzu,—zupełnie wystarczą na potrzeby rodziny, z trzech do pięciu osób się składającej.

Śpizarnia taka powinna przede wszystkim być zaopatrzona przynajmniej na miesiąc w zapas produktów mącznych: mąkę pszenną, żytnią, kartoflaną, ryż, jagły, kasze: tatarczaną grubą, całą i łamaną, krakowską i maczek, mannę, jęczmienną, orkiszową, perłową i owsianą. Zależnie od potrzeby — może być ich po jednym, dwa lub pół kilo, lecz żadnego gatunku braknąć nie powinno, chyba, że któregoś z nich cała rodzina nie lubi i nie jada. Fasola perłowa drobna i cukrowa duża, groch biały i zielony, makaron włoski i wermiszel, kryształ i cukier kostkowy, herbata i domieszka do kawy (samą kawę należy kupować co tydzień świeżo paloną, szczególnie, jeśli używamy jej na kawę czarną), grzyby suszone i mak uzupełniają nasze zapasy artykułów suchych. Ilości dokładnych podawać tu niesposób: po paru miesiącach praktyki gospodyni będzie najlepiej wiedziała, ile jej czego w ciągu miesiąca wychodzi.

Zanim przejdziemy do innych konserw, wspomnę tu o konieczności posiadania paru puszek skondensowanego mleka lub śmietanki, na wypadek braku dowozu mleka, lub zamarznienia takowego w drodze, co czasem w naszym klimacie ma miejsce.

(d. c. n.).

Pani Elżbieta.

PRZEPISY PRZED — I POWOJENNE

Warunki ekonomiczne nietylko u nas, lecz i w całej Europie, tak się zmieniły po wojnie światowej, że wszędzie przystąpiono do rewizji metod gotowania, aby oszczędzić na kosztownych produktach spożywczych. Nawet tacy wielcy znawcy sztuki kulinarnej (i, dodam od siebie, wielcy smakosze), jak paryski profesor Dr. Pomian-Požerski zaznacza, że niedzielna kura w garnku, o której marzył dla swoich poddanych dobry król Henryk IV, jest dzisiaj daniem, które się zjawia na stole, gdy się ma proszonych gości. U nas jeszcze nie jest tak źle: kury jadamy dosyć często, a kurczęta w niektórych okolicach kraju stanowią przez wiosnę, lato i jesień nieomal codzienne danie — lecz właśnie dlatego, że są tam najtańszem mięsem. To, że musimy się obecnie stale rachować z groszem, ma jednak i tę dobrą stronę, że mniej skomplikowane, mniej esencjonalne, mniej tłuste potrawy są daleko zdrowsze, a przyrządzone starannie i według wypróbowanych metod, wcale nie ustępują w smaku tym pływającym w maśle, pozerającym jaj kopy, duszonym przez dni kilka, przedwojennym. Dla przykładu podam tu kilka przepisów tej samej potrawy, przyrządzanej przed wojną i obecnie.

ZUPA RAKOWA (NA 6 OSÓB) PRZEDWOJENNA

Tłustą kurę i dwa funty wołowiny ugotować na rosół z marchwią, pietruszką i koprem. Kopę raków ugotować w osolonej wodzie z koprem, wybrać z nich szyjki i trzydzieści skorup. Resztę skorup i nóżki utłuc w moździerzu, dodać dwie łyżki masła i tłuc z niem dalej. Postawić na ogniu, dodać jeszcze parę łyżek masła, smażyć, aż masło nabierze czerwonego koloru; przecisnąć przez serwetę, zmieszać ze szklanką mąki, przesmażyć, rozprowadzić rosołem, którego powinno być na 8 — 10 talerzy, dodać kwartę śmietany i raz razem zagotować przed wydaniem. W wazie powinny być przygotowane rakowe szyjki, sok wyciśnięty z cytryny, koperek zielony i skorupki, nadziane farszem z połowy rakowych szyjek, piersi kury, usiekanych razem, paru łyżek tłuczonego sucharka, koperku, masła i dwóch żółtek. Skorupki należy odgotować oddzielnie na buljonie.

ZUPA RAKOWA (NA 6 OSÓB) POWOJENNA

Ugotować rosół z kości wołowych lub cielęcych i włoszczyzny; jeśli są, dodać do niego dróbki z kury lub kurczęcia. 15—20 raków ugotować z koprem i solą, obrać szyjki i łapki, z szyjek odrzucić żyłki czarne, wybrać ze środków wszystko, z wyjątkiem żołądka (czarny pęcherzyk około główki, należy go odrzucić). Szyjki odłożyć, resztę usiekać, dodać jedno jajko, bułeczkę wymoczoną, trochę masła, koperku; jeśli jest, łyżkę kury lub cielęciny pieczonej czy gotowanej, w braku ich, łyżkę sucharka; osolić, ponadziwać tem skorupki. Resztę skorupki utłuc na gładką masę, smażyć na ogniu z dużą łyżką masła; gdy się dobrze przesmaży, dodawać po łyżce rosółu. Gdy masło całe na wierzch spłynie, przelać je wraz ze smakiem, wygotowanym ze skorup, do reszty rosółu. Na pół godziny przed podaniem zaprawić zupę paru łyżkami mąki i półkwatkiem śmietany; nie gotować długo, gdyż kolor straci. Do wazy włożyć ugotowane oddzielnie skorupki, przechowane szyjki i sporo zielonego koperku. Zupy powinno być półtora, do dwóch litrów.

ZIMNY PASZTET Z ZAJĄCA (PRZEDWOJENNY)

Parę zajęcy naszpikować funtem słoniny i upiec. Zdjąć mięso z kości, utłuc, włożyć do rondla, dodać jeszcze pół funta słoniny, półtorej szklanki buljonu i znowu dusić. Upiec jajecznicę z dziesięciu jaj, zmieszać razem, dodać sera-parmezanu pół funta, tyleż masła i znowu wszystko utłuc na miazgę. Po utłuczeniu przefasować przez rzadkie sito, wbić osiem jaj surowych, trochę kwiatu muszkatołowego, wina szklankę, truflii drobno posiekanych, soli i pieprzu. Razem wszystko wymieszać. Rondel wysmarować masłem, wysypać serem, upiec w nim paszтет.

ZIMNY PASZTET Z ZAJĄCA (POWOJENNY)

Przodki, płuca, serca i wątroby z dwóch dużych, lub trzech mniejszych zajęcy starannie wymoczyć, włożyć w rondel z pół kilo przerastałego boczku, z pieprzem, zielem, listkiem i pięciu dużymi cebulami (pół kilo). Dusić podlane wodą, aż mięso od kości zupełnie odstanie. Cwierć kilo bułki pszennej rozmozczyć w mleku lub wodzie, przepuścić dwa razy wraz

z mięsem przez maszynkę. Dodać gałki lub kwiatu muszkatołowego (jeśli jest, kieliszek wina), nieco skórki cytrynowej, parę łyżek śmietany lub rosółu, aby farsz nie był suchy, łyżkę masła, 2 duże jaja lub 3 mniejsze, soli, pieprzu do smaku. Rondel wysmarować masłem, wysypać tartą bułką, wyłożyć cienkimi plastrami słoniny. Upiec pasztet, lub ugotować go na parze.

BABA PARZONA (PRZEDWOJENNA)

Dwie kwarty mąki zaparzyć kwartą wrzącej śmietanki, wybijać, aż ostygnie. Rozbić do białości dwie kopy żółtek z dwoma funtami utłuczonego i przesianego cukru, wlać to do ciasta, wymieszać dobrze, dodać 18 łytów drożdży, postawić w ciepłe, aby podeszło. Gdy podejdzie, wysypać trochę soli, dodać kwartę masła i mąki tyle, aby ciasto było jak na lekkie babki (około 3 kwart); wybijać dwie godziny, wysypać rodzynek, skórki pomarańczowej, skórki cytrynowej, postawić, aby ponownie podeszło. Wlewać po trzeciej części do form, a skoro tyle podejdzie, że formy będą prawie pełne, wstawić w gorący piec na pięć kwadransów.

BABA PARZONA (POWOJENNA)

Pół litra mąki zaparzyć pół litrem mleka wrzącego, lub nieco więcej, stosownie do suchości mąki, wybijać, aż ostygnie; sześć deka drożdży rozpuścić

w szklance letniego mleka, dodać, wymieszać; 15 żółtek ubić do białości, dodać do ciasta, wymieszać, dać podrosnąć w ciepłe. Kiedy popęka, dosypać półtora litra mąki, wybijać przez całą godzinę, wysypać 40 deka cukru—najlepiej pudru, dwie szklanki sklarowanego masła, trochę soli, garść słodkich i kilka gorzkich migdałów, utartych najdrobniej, skórkę, otartą z cytryny, pół cala wanilii, utłuczonej z cukrem; wybijać, aż od rąk odstanie; na koniec dodać 10 deka koryntek, dać powtórnie podrosnąć. Nakładać w formy, wysmarowane masłem i wysypane bułeczką. Dać jeszcze raz podrosnąć. Piec około godziny, próbując ciasto cieniuchnym patyczkiem. Gdy patyczek czysty, ciasto gotowe.

W przepisach przedwojennych zachowałam ówczesne miary i wagi, aby ich nie zmieniać. Ze potrawy, ugotowane według przepisów powojennych, są smaczne, upewnić mogę, gdyż sama je od lat kilku według tych właśnie przepisów w domu robię.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Tłuste plamy z książek, rycin i papieru, usuwa się zapomocą kredy weneckiej, którą trzeba uskrobać, posypać nią splamione miejsce, przykryć kawałkiem czystego papieru — włożyć pod prasę albo przycisnąć jakim ciężarem na kilka godzin — a plama zniknie.

OLBRZYMIE
W P R O S T
Z A I N T E R E -
S O W A N I E
N A S Z Y C H
C Z Y T E L N I C Z E K
W Z B U D Z I Ł
M A J A C Y W Y J Ś C
Z D R U K U
W D R U G I E J P O -
Ł O W I E b. m.
W S P A N I A L E
O P R A C O W A N Y

**KALENDARZ
DZIECKA I MATKI
NA LATA 1929 I 1930**

CENA 3 ZŁOTE 50 GROSZY
Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ 4 ZŁ.

DO NABYCIA W TOW. WYDAWNICZYM
„BLUSZCZ”, KRAKOWSKIE-PRZEDM. 99.
KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 13.555.

KTÓREGO TREŚĆ
SZCZEGÓLOWĄ, PRZE-
WIJAJĄC SIĘ PO-
PRZEZ 260 STRON,
P O D A L I Ś M Y
W 44-TYM NUME-
RZE „BLUSZCZU”. TE
WIĘC CZYTELNICZKI
N A S Z E, K T Ó R E D O -
T Y C H C Z A S K A L E N D A -
R Z A J E S Z C Z E N I E Z A -
M Ó W I Ł Y, P R O S I M Y
O J A K N A J S Z Y B S Z E
P R Z E S Ł A N I E Z A M Ó -
W I E N I A I N A L E Ż N O -
Ś C I, Ż D Y Ż N A K Ł A D
B Ę D Z I E N I E W A T P L I -
W I E B A R D Z O S Z Y B K O
W Y C Z E R P A N Y.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA
E S E N C J A I M Y D Ł O
C H I N O W O - C H M I E Ł O W E (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I P E R F U M E R J E. - G Ł Ó W N Y S K Ł A D:
A P T E K A A. G A Ś E C K I E G O W W A R S Z A W I E, F R E T A 16.



„UMEBLOWANIE WSPÓŁCZESNE“
to książeczka, która uczy, jak urządzić mełe mieszkanie
CENA 1 zł. 50 gr. z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.
Wysłał Administracja „Życia Praktycznego”, Warszawa-
Kraak.-Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem lub
w znaczkach pocztowych. — Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KORESPONDENCJE

Pani K. K.—Dawidgródek. Lambrekinem w jarzębiny chętnie służyć możemy—wysyłamy go natychmiast po otrzymaniu potrzebnej miary i 1 zł. w znaczkach pocztowych — odebrane 50 gr. licząc na kosztą rekomendowanej przesyłki.

Ser szwajcarski robi się, jak i inne, na podpuszczce—dla dokładnego wykonania niech Sz. Pani sprowadzi zeszyt „Życia Praktycznego”: „O wyrobieniu serów”—znajdzie w nim Pani drobiazgowie wskazówki wyrobu różnych gatunków serów.

Pani E. G.—Podwiśce. Kursy robót tkactwa i haftów wymagają od 8 do 12 lekcji, zależnie od zdolności uczennicy. Cena za 4 lekcje 12 zł.; adres telefoniczny dla omówienia warunków i daty rozpoczęcia 273-34 — albo listownie: Warszawa, Marszałkowska 17, W na Pani M. Ukielska.

Pani H. Ar. w Górcze. Równocześnie wysyłamy Sz. Pani numer „Dziecka i Matki”, jako okazowy; w nim znajdzie Pani potrzebną jej formę czapeczki.

Pani M. L.—Zagórz. Wzorów na dywany nie prowadzimy i nic za zaliczeniem nie wysyłamy; — co do wzoru na kapę, nie wiemy, o jaki Sz. Pani chodzi? — Podajemy często odpowiednie rysunki haftu, szydełkiem, siatką i aplikacją; może Sz. Pani z nich co wybierze? — prosimy o bliższe wskazówki.

Pani M. Sz.—Bydgoszcz. Tego rodzaju robót, jako tylko chwilowo modnych, nie prowadzimy dotąd — i wątpie, czy Sz. Pani dostanie wzorów w Warszawie.

Pani H. N.—Stary Sącz. Zniżki przysługują nauczycielkom jedynie w prenumeracie „Bluszczu”, — na inne pisma nikomu zniżek nie dajemy. — Za rady, przepisy i życzliwość dla naszego pisma uprzejmie dziękujemy; w razie potrzeby, nie omieszkamy zwrócić się do Sz. Pani.

Pani H. N.—Radom. Najlepszą wełną na wskazane przez Sz. Panią przedmioty jest zephyr na kłębkach, francuskiej firmy B.Z.F. albo Roubai. — O ile wełna ma być krajowa i w większej ilości (najmniej 5 kilo w jednym kolorze), dostanie jej Sz. Pani w firmie „Włókno Polskie” (ul. Rynkowa Nr. 11, w Warszawie).

O mniejsze ilości radzę Sz. Pani zwrócić się do firmy Filiński i Wegenko — Marszałkowska 153; proszę powołać się na naszą Redakcję. Robota, o ile dobrze zmoczone i zmaglowana, a zrobiona z francuskiego zephyru, nie mszy się. Inną trzeba co jakiś czas wyczesać ostrą szczotką i uprasować przez wilgotne płótno.

Pani M. P. w Radzewicach. Makatkę można zrobić na suknie dowolnego koloru, lub na szarem płótnie. Króliki mogą być z aksamitu, choć sukno jest trwalsze i ładniej się aplikuje. Po wycięciu rysunków, trzeba większe przylepić klejem fotograficznym, mniejsze — przyfastrygować i przyszyć do tła ozdobnymi ściegami, lub rzadką dzierganką — co najlepiej wychodzi. Tło makatki jest całe jednakowe szare.

WYKŁADY GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Gospodarstwo domowe przestało być zajęciem podrzędnym, pogardzanem niemal; zaczyna być traktowane, jako nauka i to poważna, a przedewszystkiem każdej kobiecie niezbędna. Na wsi i w mieście kobiety z inteligencji radeby posiadać tę naukę, to też wciąż otrzymuję zapytania, czy i gdzie są kursa, na których w ciągu niedługiego czasu i bez porzucania zajęć zawodowych można nabyć chociaż podstawowych wiadomości o prowadzeniu gospodarstwa domowego, gdyż w szkołach specjalnych, przeważnie kucharskich, godziny zajęć są tylko ranne, co nie pozwala korzystać z nich kobietom pracującym. Otóż z prawdziwą radością zawiadamiam, że Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet, wraz z Sekcją Gospodarstwa Domowego przy Instytucie Naukowej Organizacji, od listopada do grudnia r. b. będą prowadziły kurs gospodarstwa domowego dla kobiet z inteligencji pod kierownictwem p.p. M. Karczewskiej i J. Szumlakowskiej. Bogaty program zawiera: organizację gospodarstwa domowego, urządzenie i utrzymanie domu, zasady odżywiania, budżet domowy, rachunkowość, sprzątanie, pranie, gotowanie i pieczenie według najnowszych metod. Wykłady i zajęcia praktyczne będą się odbywały codziennie w godzinach popołudniowych. Przewidywane są wykłady pań: Czeczowskiej, Dąbrowskiej, Jurjewiczowej, Kiewnarskiej, Komarnickiej, Szumlakowskiej i Żerańskiej.

Dla kobiet, posiadających bodaj nieduży ogród w mieście lub pod miastem, dla amateerek kwiatów pokojowych, a nawet dla każdej gospodyni, interesującej się konserwowaniem owoców i jarzyn, przypominam tutaj o kursach, urządzanych corocznie przez Koło Miłośników Ogrodnictwa (kurs najbliższy trwać będzie od 29 listopada r. b. do 9 lutego 1929 r., — przy ul. Nowy Świat 19). Cykl I-szy tych wykładów obejmie: życie roślin, glebę, uprawę i nawożenie. Cykl II-gi: warzywnictwo. Cykl III-ci: sadownictwo, owocarstwo, przetwory owocowe, szkodniki i choroby roślin. Cykl IV-ty: kwiaciarstwo gruntowe, pielęgnowanie ogrodów, nasiennictwo i pszczelnictwo. Wykłady będą się odbywały w godzinach przedwieczornych, co pozwoli korzystać z nich osobom, zajętym pracą zawodową. Przewidywane są wykłady profesorów: Biedrzyckiego, Danielewicza, Gorjaczowskiego, Schönfelda, Skawińskiego i pań: Dzierzbickiej i Kiewnarskiej.

Pani Elżbieta

8-MIO MIESIĘCZNE KURSY PIEŁĘGNIARSKIE
POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA

rozpoczynają się w dniu 19 listopada r. b. przy Domu Macierzystym P. C. K. Eksternistki będą przyjmowane w ograniczonej liczbie. Zapisy przyjmuje Przełożona Domu Macierzystego od godz. 9-ej do 14-tej, Mazowiecka 9 m. 5, tel. 112-68.

	HEMOROIDY	CZOPKI	„VARICOL”
	HEMOROIDALNE		
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ZYLAKI). — SPRZĘDAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — ARTEKA A.GĄSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.			
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”			

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99, Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Ryńska 8, tel. 244-18.